951

№ 951

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

Państw. Teatr Śląski
SYG. 951
Katowice — BIBLIOTEKA

N. 63.

PRZED ŚLUBEM.

№ 951

KOMEDYA W 5CIU AKTACH

PRZEZ

Kazimierza Zalewskiego.

WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JANA NOSKOWSKIEGO,

ul. Mazowiecka, 11.

1875.

LPI 3C

Дозволе но Цензурою.
Варшава, 25 Іюля (6 Августа) 1875 г.

2-7814296
RG70

541086

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

OSOBY.

Teodor Drecki.
August Nowowiejski.
Baltazar Uszyński.
Antoni Uszyński.
Klapkiewicz.
Muszkat.
Jan Lokaj.
Łucka.
Helena.
Antosia.
Służba, Goście.

(Rzecz dzieje się w Warszawie).

20/2 1891.

AKT I.

(Scena przedstawia pokój bogato umeblowany w mieszkaniu Dreckiego).

SCENA 1.

DRECKI, AUGUST *siedzą przy śniadaniu* JAN *posługuje.*

DRECKI.

Powiedz mi ile masz lat?

AUGUST.

Według metryki 42. W głowie mam 15, w sercu 18, a w krzyżu i w nogach to zależy od pogody — czasami 30, a czasami 50.

DRECKI.

Ja z tego wszystkiego wiesz jaki wyprowadzam wniosek?

AUGUST.

Wyprowadzaj jaki chcesz. Te jarząbki smakują mi; jedząc je mogę nawet przykrych rzeczy słuchać.

Drecki.

Otóż mój Auguście, z twoją pozycyą, bytem niezależnym i będąc na świecie bez obowiązków, słowo Ci daję jabym się ożenił.

August.

Château Margaux masz wyborne.

Drecki.

Bo uważ no proszę, jaką ty sobie gotujesz przyszłość. Stracisz zdrowie, humor, i będziesz kwękał sam w domu na łasce lokaja, lub co gorzéj gospodyni.

August.

Liebfrauenmilch już mi tak nie smakuje; ale czerwone doskonałe.

Drecki.

Nic mi nie odpowiadasz?

August.

I owszem, odpowiadam że masz Château Margaux doskonałe.

Drecki.

Mój kochany, jabym cię prosił żebyś raz pomówił ze mną na seryo!

August.

Czy ty uważasz że może być coś poważniejszego jak dobre wino?

Drecki.

Niecierpliwisz mnie!

August.

No poczekaj! skończyłem już śniadanie; daj mi cygaro, tylko o ile możności z tych odleżałych; a teraz przystąpmy do przedmiotu z innego stanowiska. Przede-

wszystkiem pozwól że ja z kolei przystąpię do indagacyi. Jaka mama, babka, wujenka, ciotka, siostra, bratowa, lub opiekunka, chce za twojem pośrednictwem rzucić na moje barki zbyteczny dla siebie ciężar?

DRECKI.

Auguście, jak cię kocham mylisz się.

AUGUST.

Dajże pokój, czy ty myślisz że to pierwszy wypadek w tym rodzaju? Zobowiązałeś się zaproponować mi jakąś pannę, aby ci to łatwiéj poszło zaprosiłeś mnie na śniadanie. Śniadanie było bardzo przyzwoite, i oddaję ci za to wszelką sprawiedliwość. Ja zrobiłem swoje, jadłem z apetytem; pozostaje gorzka pigułka to jest małżeństwo do połknięcia. Twoje jarząbki już zaczynam trawić, dodaj i małżeństwo — jedno przy drugiem strawię łatwiéj.

DRECKI.

Jesteś egoista i epikurejczyk, masz racyą że się nie żenisz!

AUGUST.

Że mam racyą to ja wiem o tem od dawna; a czym egoista? no to czas zapewne pokaże. Dla czego zaś nie żenię się, to zaraz ci na to odpowiem. Oto Pan Bóg nie stworzył mnie na męża.

DRECKI.

A na cóż cię u licha stworzył?...

AUGUST.

Na to trudno by mi było odpowiedzieć... że jednak nie na kochanka i na męża to z pewnością!

DRECKI.

Ależ dla czego?

AUGUST.

Czyś ty mi się kiedy przypatrzył, ale tak dobrze z blizka?

DRECKI.

Dajmy na to, cóż ztąd?

AUGUST.

Oto że jeden bardzo rozsądny nieboszczyk Molier, radzi ludziom z podobną mojéj fizyonomią, wstrzymywać się od małżeństwa, bo im to na złe wyjść może!

DRECKI.

Ja, nic tak dziwnego w twojéj fizjognomii nie widzę. Wyglądasz jak inni ludzie.

AUGUST.

Dziękuję ci kochany przyjacielu, jesteś bardzo na mnie łaskawy; ale pozwolisz że będę odmiennego zdania. Jestem sromotnie brzydki.

DRECKI.

Przesadzasz.

AUGUST.

Niestety, nie mój drogi. Znam siebie jak zły szeląg, i wiem ilem wart fizycznie i moralnie. Otóż jeżeli moralnie wart jestem nie wiele, to fizycznie pod względem urody, jestem ilością nieskończenie wielką, ale ze znakiem mniéj.

DRECKI.

Przesadzasz mój drogi.

AUGUST.

Zdaje się pod tym względem na sąd... chociażby twojéj kucharki.

DRECKI.

No, a jeżeli ja jestem upoważniony najformalniéj ci oświadczyć żeś się podobał.

AUGUST.

Moje wsie i kapitały! wierzę.

DRECKI.

Ależ nie, ty sam, zapewniam cię!

AUGUST.

Czekaj, ja ci zaraz dam odpowiedź. Chodź no tu Janie. Powiedz mi jak ja się ci podobam?

JAN.

Jakto... proszę pana?...

AUGUST.

Odpowiadaj bez wykrętów.

JAN.

Kiedy ja niewiem co mam powiedzieć....

AUGUST.

Gdybyś był kobietą gamoniu chciałbyś mnie za męża, no, co?

JAN *(śmiejąc się)*.

Ha! ha!

AUGUST.

Nie śmiéj się, tylko gadaj, chciałbyś czy nie?

JAN.

Jużci, czemu nie!...

AUGUST.

Jesteś bałwan!

JAN.

A cóż to panu brak? ma pan pieniądze, jest pan panem.

AUGUST.

No, zaczynasz się poprawiać. Ale tak na urodę chciałbyś mnie....

JAN.

Musiałbym się namyśleć....

AUGUST.

Janie odzyskałeś mój szacunek; ruszaj precz niedołęgo! Cóż, jak uważasz kochany przyjacielu, co sądzisz o téj próbie? Jeżeli chcesz mogę ci dać kilka podobnych, choć przyznam ci się że mi to nie przyjdzie z wielką przyjemnością. A teraz bądź łaskaw powiedzieć mi nazwisko interessantki?

DORECKI.

Na cóż się to zdało, kiedy jesteś z góry źle uprzedzony.

AUGUST.

No zawsze wiedzieć nie zawadzi. Bo jednak uważasz... *(do Jana który wszedł i stanął przed Dreckim)*. Czego chcesz znowu?

JAN.

E! to do mojego pana jakiś jegomość.

DRECKI.

Kto taki, jak się nazywa?

JAN.

On nie powiedział jak się nazywa, tylko powiadał że mu pan bardzo rad będzie.

DRECKI.

A no kiedy mam mu być rad, to proś *(Jan wychodzi)*. Zostań Auguście, dokończemy naszéj rozmowy.

AUGUST *(n. s.)*

Uparty jest! musi w tém coś być!...

SCENA 2.

CIŻ I USZYŃSKI.

USZYŃSKI *(do Dreckiego)*.

Nareszcie cię znalazłem. Dalibóg on... on sam! nic się nie zmienił. Niech cię uściskam.... jeszcze raz. Ale cóż ty nie poznajesz mnie?

DRECKI.

Daruj pan.... lecz pamięć moja....

USZYŃSKI.

Baltazar Uszyński, twój kolega panie, z gimnazyum w Lublinie i z uniwersytetu w Moskwie. Twój Baltek jakieście mnie dawniéj nazywali.

DRECKI.

Baltazar!... jak się masz kochany przyjacielu!... Daruj, to już lat tyle, żem cię niepoznał.

USZYŃSKI.

Ba! rzecz naturalna, zapomniałeś o mnie. W Warszawie masz dużo znajomych.... nic dziwnego. Ale teraz kiedyś mnie już poznał, uściskajmy się na nowo!

DRECKI.

Z przyjemnością! *(n. s.)* Trochę za czuły, nie lubię tych tendressów.

USZYŃSKI.

Ale powiedzże mi co się z tobą dzieje? Wiem z gazet że jesteś dygnitarzem.... radzcą.... dyrektorem wydziału, to mnie bardzo ucieszyło. No ale o twojem życiu chciałbym się coś dowiedzieć, *(spostrzega Augusta)*. A przepraszam nie spostrzegłem!...

Drecki.

Pozwól Auguście że cię zapoznam: August Nowowiejski obywatel. Pan Uszyński mój kolega szkolny.

Uszyński.

I uniwersytecki.... kandydat filozofii, i professor trzy klassowéj szkoły rządowéj w Mławie. Bardzo mi miło poznać pana dobrodzieja.

August.

I mnie wzajemnie.

Drecki *(krzywiąc się n. s.)*

Professor szkoły trzy klassowéj w Mławie!

Uszyński.

Ale wiesz co, że ta Warszawa, to sobie wcale duże miasto się zrobiło. Ciężko wyszukać kogo, nawet dygnitarza. Obszedłem z dziesięciu Dreckich, mam tu nawet kartki co wziąłem z bióra adressowego. Wszystkich mi wskazali prócz ciebie. Wczoraj i dziś całe rano biegamy z Antonim!

Drecki.

Co to jest z Antonim?

Uszyński.

Z moim synem! — przyjdzie tu niedługo, tęgi chłopak — no ale o tém potem. Panowie tu widzę jedliście śniadanie, a ja jeszcze na czczo!

Drecki.

Tu restauracya blizko!

Uszyński.

A toż na co? ja sobie z temi szczątkami poradzę. Och wyborne rzeczy widzę. Prawdziwie pańskie jadło.

Drecki *(n. s.)*

Jest sobie bez ceremonii.

August *(n. s.)*

Zaczyna mnie bawić ten poczciwiec!

Uszyński.

Nie wymagam żebyście jedli ze mną.... no, ale co usiąść to możecie. Ja mogę jeść i rozmawiać razem. Proszę o tu....

Drecki *(n. s. siadając).*

Jest jak u siebie.

August *(siadając).*

Służę panu dobrodziejowi.

Uszyński *(jedząc).*

Otóż muszę ci powiedzieć kochany przyjacielu, że życie w Mławie szczególniéj z początku nie było bardzo wesołe,— zwyczajnie życie na prowincyi. W karty grać nie umiałem, do rozpuszczania plotek nie miałem wprawy, pozycya moja nie nazbyt świetna nie czyniła mnie przyjemnym dla panien na wydaniu. Jednem słowem byłem nieużytecznym członkiem towarzystwa Mławskiego. Odbijałem się za to jak mogłem na Horacym i Virgilim. Zrobiłem nawet waryant na:

ille ego qui quondam gracili modulatus avena;

zmieniając na:

ille ego qui quondam Moscoviae et Petri in urbe.

Nawiasem mówiąc miałem wątpliwość jak przetłumaczyć Petersburg, miasto to bowiem nie było znane w starożytności.

August.

Słuszna uwaga.

Uszyński.

Naturalnie. Bo uważa pan dobrodziéj, Rzymianie w swojéj dumie, jeden Rzym tylko nazywali Urbs; inne zaś miasta zwały się civitas, lub oppidum. Jak tu zatem wybrnąć?

August.

Sęk nie łada.

Uszyński.

Pomyślawszy jednak, że Petersburg jest stolicą, że Rzymianie już nie istnieją więc nie mogą reklamować, nazwałem je Petri-Urbs, zamiast civitas Petri.

August.

Bardzo słusznie. Szczególniéj to pominięcie reklamacyi nie istniejących Rzymian, dowodzi wielkiéj przezorności w panu dobrodzieju.

Drecki *(do Augusta n. s.)*

Jesteś w swoim żywiole satyro chodząca, ale ja....

August *(do Dreckiego)*.

Wciągnij to do rachunku utrapień. Wiesz że święty Tomasz z Akwinu....

Uszyński *(podsłyszawszy)*.

Tomasz z Akwinu wielki filozof panie.... wielki filozof! Kant śrniedniowieczny. No ale wracam do rzeczy. Wstyd mi się przyznać, a jednak po pewnym przeciągu czasu Horacy i Wirgili te pochodnie ludzkości przestały mi wystarczać. Daremno przyłączyli się do nich Owidyusz, Plaut, Juvenalis, a nawet sam boski Plato. Czułem gwałtowny i nieprzezwyciężony pociąg do towarzystwa ludzi; appetitus societatis!

August.

Hugona Grotiusa.

Uszyński.

Aha! Hugona Grotiusa. *(nachylając się do Dreckiego)*. To erudyt jest! *(głośno do Augusta)*. Pan dobrodziéj filolog?

August.

Nie panie,— ja jestem pasożyt.

Uszyński.

Za moich czasów nie było takiego fakultetu.

August.

To świeżo sformowany. Ale przerwaliśmy w miejscu najbardziéj zajmującem.

Uszyński.

Otóż w tych czasach właśnie kiedy uczuwałem pierwsze symptomata mojéj choroby, przełożona szkoły panien, a raczéj pensyi wyższéj żeńskiéj, ugodziła się ze mną o lekcye w swoim zakładzie. Byłto wysoki dowód zaufania z jéj strony, gdyż przy moim młodym wieku....

Drecki *(n. s.)*

Nie skończy dzisiaj!

Uszyński.

Ale było to widać przeznaczone. Tam poznałem Antoninę.

August.

Przeczuwałem to. Zakochałeś się Pan!

Uszyński.

I ożeniłem. W rok potem byłem ojcem Antosia; który się tak nazywa....

August.

Od imienia matki!

Uszyński.

Ś. p. Antoniny. Zmarła 20 lat temu. Sit ei terra levis *(pije)*.

August *(n. s.)*

Znosi dosyć wesoło tę stratę. Mam ochotę powiedzieć, dominus vobiscum!

Drecki.

Koniec końców przyjeżdżasz mój przyjacielu do Warszawy, ze swoim synem Antonim...

Uszyński.

Który ci się zaraz przedstawi. Przyjeżdżam restringere vincula amicitiae i powierzyć twojéj opiece mojego jedynaka.

Drecki.

Bardzo to dla mnie zaszczytne, ale....

Uszyński.

Najprzód muszę ci powiedzieć coś o nim. Antoni jest artystą malarzem....

Drecki.

Dosyć mój przyjacielu, niekończ. Moje zasady nie pozwalają mi znać takich ludzi.

Uszyński.

Malarzy?

Drecki.

Wszystkich artystów w ogóle. Są to ludzie bez zasad, nałogowi i nie moralni, nie przyzwoicie i źle wychowani.

Uszyński.

Ależ....

Drecki.

Pozwól mój drogi. Całem mojem życiem dowiodłem że mam zasady stałe i niewzruszone. Zasady te wyrabiały się powoli, przychodziły z doświadczeniem, ale raz ustalone nie mogą ulegać zmianie, bo weszły w krew moją i z nią razem w żyłach płyną. Otóż na początek po przyjeździe moim do Warszawy wszedłem w towarzystwo artystów, nie przeczę, bardzo przyjemne z początku. W miesiąc by-

łem bez grosza, w dwa siedziałem w długach po uszy, a w kwartał naczelnik mego wydziału przedstawił mnie do dymissyi. Zbudziłem się, otrząsnąłem i przysiągłem sobie że się więcéj nie dam złapać.

AUGUST.

Chyba baletnicy. Prawda, że pojęcia co do sztuki przebierania nogami są dotąd sporne.

DRECKI.

Auguście, twój żart, jest nie w porę.

AUGUST.

Ależ Matylda....

DRECKI.

Nie w porę powtarzam. Zatem z prawdziwą przykrością przychodzi mi powiedzieć ci mój szkolny kolego, że miłoby mi było poznać twego syna; ale artysty w dom swój przyjąć nie mogę.

SCENA 3.

CIŻ, JAN potem ANTONI.

JAN *(melduje)*.

Pan Antoni Uszyński. *(Antoni wchodzi: Jan wychodzi).*

AUGUST.

Zapóźno się zdeklarowałeś!

ANTONI *(do Dreckiego)*.

Daruje pan Radzca, że upoważniony przez dawne koleżeństwo jego z moim ojcem, ośmielam się wejść tu jak do domu dawnego przyjaciela, którego imię przyzwyczaiłem się z szacunkiem wspominać, od lat najmłodszych.

Drecki *(do Augusta n. s.)*

Jestem w ciężkiéj pozycyi.

August *(do Dreckiego)*.

Nie do wybrnięcia. No graj komedyę gościnności. Potem go za drzwi wyprosisz grzecznym sposobem.

Uszyński.

No cóż? patrzaj, to mój syn! Podobny do mnie jak byłem młody, ale ładniejszy. No porzuć swoje przesądy i wmówione zasady; uściskaj go tak, jakbyś uściskał jego ojca przed 30 laty.

Drecki.

Z przyjemnością. *(ściskając Antoniego: n. s.)*. Żebyś pękł, stary trutniu.

Uszyński *(do syna)*.

A cóż? nie mówiłem ci, że mam w Warszawie przyjaciela, który ci zastąpi ojca.

August *(n. s.)*

No jeżeli ten mu ojca zastąpi.

Antoni.

Niech pan wierzy, że wdzięczność prawdziwa.... *(n. s.)* nie podoba mi się ten przyjaciel mego ojca.

Drecki *(n. s.)*

A toż wlazłem w matnię.

Uszyński.

Chodź mój synu *(do Augusta)*. Pragnę go i panu przedstawić, panu, który pod powłoką satyryka, musisz chować wiele serca i rozumu, bo erudycyę już sprawdziłem.

August *(n. s.)*

Ten stary ma instynkt. *(głośno)* Panie Antoni, jeżeli rada i towarzystwo, takiego jak ja pasożyta, człowieka do

niczego, ot nieużytecznego mebla na świecie, mogą ci się na co przydać, to chętnie ofiaruję panu jedno i drugie.

ANTONI.

Przyjmuję z wdzięcznością i postaram się zasłużyć na nie sobie

USZYŃSKI.

A teraz pozwól mój przyjacielu abym ci wytłumaczył w czem na ciebie liczę i czego się od ciebie spodziewam co do mego chłopca. Potem spokojny o los jego powrócę do Mławy, docere juventutem et exercere poetas. Trzeba ci najprzód wiedzieć, że Antoni nie jest początkującym malarzem. Dorozumiewasz się, że ja długo walczyłem z jego wrodzonem usposobieniem, zanim zdecydowałem się puścić go na tę sławną, ale i ciernistą drogę; super viam gloriosam sed....

AUGUST.

Ingratam.

USZYŃSKI.

Tak ingratam.... dziękuję. Ale cóż chłopak się wyrywał, rysował węglem po ścianie i kredą na tablicy; a co najgórzéj, rysował moich szanownych kolegów i to tak podobnych, a przytem tak komicznie. Pamiętam szczególniéj, jednego dnia narysował professora matematyki, który miał nos zatabaczony.... Miałem go nawet na papierze... Antosiu, nie wiesz co się z nim stało?

AUGUST.

Z professorem czy z nosem?

USZYŃSKI.

Z rysunkiem. Professor jest dziś rektorem w Łowiczu.

ANTONI.

Nie wiem proszę ojca.

Uszyński.

Musiał gdzie zginąć, a szkoda, pięknie był odrobiony. Trzymał tabakierkę ot tak, a nos tak... to było bardzo komiczne.

August *(n. s.)*

Wrodzona zaciętość filologów do matematyków.

Drecki *(n. s.)*

On nie skończy dziś, ten gaduła. Boże! za cóż mnie tak karzesz?

Uszyński.

Więc tedy, item widząc że chłopaka nie wstrzymam, zawołałem go i miałem do niego orationem téj treści: Audi puer — słuchaj chłopcze! chcesz być malarzem zgoda, nie będę ci przeszkadzał, przeciwnie pomogę; ale jeden warunek: musisz mi szkoły skończyć przykładnie, żebyś nie był rudis indigestaque moles, jako człowiek, co z większą częścią naszych artystów przydarza się. Każdy zna swój fach a na świecie ignarus.

August *(n. s.)*

Ten człowiek zdrowo patrzy na rzeczy.

Uszyński.

Antoni przyrzekł i dotrzymał słowa. Skończył gimnazyum Płockie ze srebrnym medalem. Ha! wtedy choć z żalem, dałem mu krzyżyk na drogę i pieniędzy ile mogłem. Pojechał do Monachjum, do Paryża i do Włoch; uczył się u Kaulbacha, Winterhaltera, Gerome'a i innych wielu których nie pamiętam. Jego nauczyciele pisali do mnie listy, chwaląc jego pracę i talent, z temi się nigdy nie rozdzielam. Oto są, możecie panowie je czytać.

August *(przegląda)*.

Rzeczywiście! Pilloti wróży panu świetną przyszłość.

Antoni.

Był bardzo łaskąw na mnie! (*siada na boku przy stole i machinalnie znalazłszy ołówek i papier zaczyna rysować*).

Uszyński.

Otóż z taką to antecedencyą przychodzimy do ciebie, mój przyjacielu. Mój chłopak malował obrazy już za granicą które mu zjednały trochę rozgłosu; lecz musiał je sprzedawać dlą chleba; w kraju jest jeszcze nieznany, a ja chcę żeby pracował na téj ziemi, na któréj się urodził. Ale do tego wiem już niestety, że własnemi siłami dojść trudno. Trzeba protekcyi, wpływów, stosunków;— więc też powiedziałem sobie; mam tu przecie kolegę, dygnitarza, on mi chłopca popchnie, wprowadzi w świat, da stosunki z mecenasami sztuki, zapozna z dziennikarzami, bo i oni też dużo znaczą, choć to nędzny naród, miserabile genus, nigdy nie miałem do nich przekonania. A tak z twojem poparciem Antoni wyjdzie na ludzi, i wypłynie na wierzch.

Drecki.

Smutno mi bardzo kochany kolego, że na samym początku spotka cię zawód, i że zmuszony będę rozwiać twoje złudzenia; odpowiem ci zatem krótko.

August (*n. s.*)

Teraz mu wsadzi nóż pod piąte żebro.

Drecki.

Wszystko to, co dobre gdzieindziéj, w Warszawie jest niemożliwe. Malarz u nas z największym nawet talentem nie może sobie zyskać rozgłosu, ani nawet nędznego utrzymania. Dajmy na to że wymaluje arcydzieło, to jeśli je zatrzyma u siebie, nikt do jego pracowni nie przyjdzie, a da na wystawę to jeszcze gorzéj. Zganią, skrytykują, spiszą, od czci i od wiary odsądzą, a choć wypadkiem pochwalą, to obraz będzie wisiał sto lat bo go nikt nie kupi. Magna-

ci wolą kupować za granicą i dać się oszukiwać na nędznych kopiach za oryginały.

AUGUST.

Zdaje mi się żeś dał za podejrzanego Memlinga 1,000 rubli.

DRECKI.

Nie przerywaj. Otóż nasz artysta, albo wyjeżdża za granicę, lub żyje w nędzy i umiera z głodu. No, za to na grób ciskają mu wieńce laurowe.

USZYŃSKI.

Jednakże pozwól.... przecież i nasi....

DRECKI.

Wiem, chcesz mówić o kilku wyjątkach, a i z tych jeszcze połowa doszła więcéj zręcznością w lizaniu łapy wielkich panów, niż własnym talentem i zasługą. Tak, tak, rozczaruj się mój kolego i nie uwodź na próżno twego syna. Niech wraca za granicę i tam zrobi sobie imię; tu zaś na nic liczyć nie może, tem bardziéj zaś na moje wpływy, które choćby i były tobym ich nie marnował dla sprawy z góry przegranéj.

USZYŃSKI.

Przykro mi to bardzo co słyszę; tem bardziéj żem się czego innego od ciebie spodziewał. Ha! kiedy tak, Antoni pójdzie o własnych siłach.

AUGUST (*do Antoniego*).

A pan cóż na to, czy ten obraz cię nie zniechęca? ale co to ja widzę.... pan czem innem byłeś zajęty, (*ogląda rysunek*). Drecki! ach, jaki świetny z tym giestem oratorskim.

ANTONI.

O! niechże pan pozwoli, rzeczywiście machinalnie zrobiłem jakiś szkic.

August.

Ależ wyborny; ten szkic, lepiéj pana rekomenduje niż listy wszystkich Pillotich. Bądź pan spokojny, wypłyniesz, ja się znam na tem.

Antoni.

I ja mam wiarę i śmiało patrzę w przyszłość.

Uszyński.

No mój synu, zabierajmy się. Oblano nas tu trochę zimną wodą, ale to zdrowo czasem, szczególniéj dla młodych, a i mojéj staréj głowie téż nie zawadzi.

Drecki.

Chciéj wierzyć kolego że mi bardzo przykro, i jeśli pan Antoni zostaje w Warszawie, to proszę od czasu do czasu o mnie pamiętać.

Antoni.

Dziękuję panu Radzcy, wątpię jednak aby moje zajęcia....

August (*do Antoniego n. s.*)

Nie odmawiaj stanowczo, to człowiek wpływowy, którego bądź co bądź trzeba oszczędzać. (*głośno*) No i ja także zabiorę się z panami.

Drecki.

Poczekaj!

August.

Nie! spieszę się. Zresztą zainteressował mnie ten młody człowiek.

Uszyński.

No! bądź zdrów stary kolego. Spotkaliśmy się po raz pierwszy od lat trzydziestu; ja jutro powrócę do Mławy, i kto wie czy kiedy tu przyjadę jeszcze. Bądź co bądź uściskajmy się, może to już raz ostatni. O sancta juventus jakżeś ty zniknęła.

DRECKI (*n. s.*)

Uf! pozbyłem go się.

ANTONI.

Panie Radzco!

DRECKI.

Panie!

AUGUST.

Z tem wszystkiem nie wiem o kim mówił. Poczekajcież na mnie; idziemy razem. (*Uszyński, Antoni, August idą do drzwi; przy wyjściu spotykają Helenę i Łucką*).

AUGUST.

Panie tu?

HELENA.

Jak pan widzi.

ŁUCKA.

W téj chwili prosto z kolei;— pan już ucieka?

AUGUST.

Tak pani, z temi panami.

ŁUCKA.

Zatem do widzenia. Mieszkamy na Nowym Świecie; tam gdzie zwykle.

AUGUST.

Nie omieszkam się dostawić. (*n. s.*) Czyżby to ona? ha! zobaczymy.

ANTONI (*n. s.*)

Sliczna głowa blondynki.

USZYŃSKI.

No panie Nowowiejski expectamus.

August.

Służę panom, służę. (*Uszyński, Antoni, August wychodzą*).

SCENA 4.

Drecki, Łucka, Helena.

Drecki.

Jak się masz moja siostro, jak się masz Heluniu! O zdrowie się nie pytam bo wyglądacie doskonale. No i cóż? poskutkowały wody?

Łucka.

Nie szczególnie. Wreszcie sam zobaczysz, bo będzie u nas nie długo....

Drecki.

Bogaty?

Łucka.

Obywatel, ma wieś; ale trzeba żebyć się dowiedział jak tam hypoteka. A cóż tu z Augustem?

Drecki.

Jeszcze nic. Przerwano mi właśnie kiedym zaczynał; ci dwaj jegomoście...

Helena.

A ja też wujaszka spytać się chciałam, kto byli ci pąnowie?

Drecki.

Nic... zera. Professor szkoły trzyklassowéj i jego syn malarz; panowie Uszyńscy.

Helena.

Malarz.... (*spostrzega na stole rysunek pozostawiony przez Antoniego*) Ha! ha! ha! patrzaj mamo!

ŁUCKA *(oglądając rysunek).*

Co to takiego? ha! ha! wyborny!

DRECKI.

Co to jest?...

HELENA *(zanosząc się ciągle od śmiechu).*

Nic... portret wujaszka.

DRECKI.

No i czegóż się śmiejecie. *(n. s.)* Impertynent!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

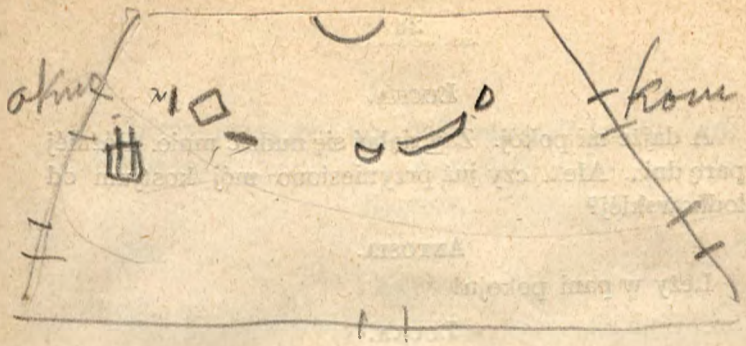

AKT II.

(Salonik bogato umeblowany w [illegible])

SCENA 1.

ŁUCKA, HELENA, ANTOSIA, potem DRECKI.

ANTOSIA *(wchodząc)*.

Proszę pani, rachunek od Penkali.

ŁUCKA.

Powiedz, że będę sama w tych dniach w sklepie.

ANTOSIA.

Przysyłali już także dwa razy od właściciela domu, że gdy pani powróciła...

ŁUCKA.

Dobrze, dobrze!

ANTOSIA.

Za karety z Europejskiego hotelu także przychodzili...

ŁUCKA.

A dajże mi pokój. Zawzięłaś się nudzić mnie. Później za parę dni... Ale... czy już przyniesiono mój kostjum od Włodkowskiéj?

ANTOSIA.

Leży w pani pokoju!

ŁUCKA.

Przygotuj go... zaraz przymierzę.

ANTOSIA (*n. s.*)

Kostyum od Włodkowskiéj, a komorne nie zapłacone. Oj! ja przeczuwam że to się źle skończy... zresztą co mi do tego. (*wychodzi*).

ŁUCKA.

Helenko, o czem się tak zamyśliłaś?

HELENA.

O niczem mamo, moje myśli są bezbarwne tak jak ja....

ŁUCKA.

To źle duszko, to zakrawa na lekkomyślność, a nam czas działać... oj! wielki czas.

HELENA.

Działajmy zatem.

ŁUCKA.

Czy ty wyobrażasz sobie, że ten szkaragny egoista niechciał mi pożyczyć nędznych 10,000, a przecież mój brat, twój wuj... Cóż inni mają robić?... obcy? kiedy najbliżsi tak postępują. Trzeba nagwałt coś postanowić.

HELENA.

Postanówmy.

Łucka.

August przez dwa tygodnie nie pokazał się... cóż ty myślisz o tem?

Helena.

Nic.

Łucka.

Helenko, niecierpliwisz mnie; robisz się nieznośną.

Helena.

Przepraszam mamę; zdaje mi się że jestem zawsze jednakowo... posłuszną córką!

SCENA 2.

Ciż i Drecki.

Drecki.

No moje panie, co nowego?

Łucka.

To raczéj ciebie trzebaby się oto spytać. Widziałeś się z Augustem?

Drecki.

O nim nie ma co myśleć. To szkaradny egoista, prawdziwy pasożyt, niezdolny do żadnego uczucia, ani poświęcenia. Trzeba skończyć z Klapkiewiczem. Hypoteka trochę zamazana, ale dobra obszerne; można będzie las wyciąć i wszystko się oczyści. Bardzo dobra partya.

Łucka.

Tak! tylko dotąd nie był, może także chorągiewkę zwinął!

Drecki.

Toby było fatalne!

Łucka.

Fatalne, ty to tylko umiesz powiedzieć; ale jak zaradzić złemu, wyprowadzić z fałszywego położenia, o tem nie pomyślisz!

Drecki.

Widzisz jak się mylisz moja siostro. Od tygodnia zabijam się aby wynaleść dla ciebie pieniądze, a ty oskarżasz mnie o egoizm.

Łucka.

I cóż! znalazłeś?...

Drecki.

Prawie. Potrzeba tylko dopełnić małych formalności prawnych z Helenką.

Łucka.

O! to najmniejsza!

Drecki.

Wiesz ta summa na Byszewie; znalazłem nabywcę!

Łucka.

Mamy tam 60,000.

Drecki.

To jest, Helenka ma tam 60,000.

Łucka.

Wszystko jedno!

Drecki.

Przy jéj usposobieniu i wychowaniu, to rzeczywiście wszystko jedno. Dzieci dzisiejsze są ogromnie apatyczne!

Łucka.

Co to, to prawda — no ale jakże z tą summą?

Drecki.

Dają za nią 45,000 i to po ogromnym targu.

Łucka.

Bój się Boga, tak mało!

Drecki.

Cóż chcesz, robiłem co mogłem, więcéj dać nie chcą. Czekaj do Ś-go Jana!

Łucka.

Kiedy nie mogę... dziewięć miesięcy.

Drecki.

To sprzedaj!

Łucka.

Ależ hypoteka pewna, i gdyby mi ktoś pożyczył 10,000, mogłabym czekać, załatawszy dziury. Nie obwijając rzeczy w bawełnę, wiem przecież że masz gotówkę, nie stracisz tych pieniędzy.

Drecki.

Z zasady nie wdaję się w pożyczki familijne. Cóż ty chcesz, żebym potem Helenkę processował? Mam za wiele serca na to, a narażać się na straty nie mogę.

Łucka *(n. s.)*

Żyd! *(głośno)*. Ha! trudno, trzeba będzie Helence powiedzieć... a może jeszcze Klapkiewicz.

Drecki.

Cóż Heluniu, nie przywitałaś się nawet z wujaszkiem?

Helena.

I owszem, kłaniałam się, tylko wujaszek nie uważał.

Drecki.

Czyż to tak witają się z wujaszkiem, i to jeszcze z takim wujaszkiem, który ciągle myśli o naszych interessach, kłopocze się o nas. Doprawdy Helenciu jesteś niewdzięczną!

HELENA.

Nie sądzę!

DRECKI.

Tem gorzéj że tego nie czujesz. No daj czoło... ot tak. A teraz siadaj i pomówmy o rzeczach poważnych. Czas bo nareszcie raz rozmówić się stanowczo i jasno przedstawić sobie całe położenie.

HELENA.

Ja już dawno, przedstawiłam je sobie.

DRECKI.

Ciekawym.

HELENA.

Niech wujaszek posłucha. Na stopę na jaką żyjemy, majątek nasz nie wystarczy na dłużéj jak na półtora roku Wszak tak?...

ŁUCKA.

Oh! cóż znowu.

DRECKI.

Może na dwa lata. Mów daléj Helciu...

HELENA.

Dziś już położenie nasze jest bardzo ciężkie; kłopoty pieniężne cisną się ze wszystkich stron. Aby temu zaradzić kochana mama i wujaszek uznali, że jest jeszcze jeden mebel do spieniężenia; mebel który na amatora, może powrócić mamie i mnie stracony majątek, a nawet przy szczęśliwych okolicznościach wprowadzić nas w fazę nowego życia, bez troski o jutro, bez złych wspomnień z dni minionych. Tym meblem jestem ja.

ŁUCKA.

Zaczynasz derezonować moje dziecko.

HELENA.

Nie mamo, przedstawiam tylko prawdziwe położenie; robię to czego chciał wujaszek. A ponieważ to dla naszego wspólnego szczęścia...

DRECKI.

O tak moja Helusiu, to dla twojego szczęścia. Bądź przekonaną, że ja nie zezwoliłbym na nic, coby się z twojem szczęściem nie zgadzało.

HELENA.

Jestem o tem najzupełniéj przekonaną.

ŁUCKA.

A ja moje dziecko, a ja... czyż pragnę czego innego na świecie, ja która żyję tylko dla ciebie. Cóż chcesz? od najmłodszych lat czuwamy nad tobą z wujaszkiem, z troskliwością bezprzykładną. Dałam ci najstaranniejsze wychowanie, a Bóg widzi jak edukacya młodéj panienki jest kosztowną w tych czasach. Kazałam cię uczyć wszystkiego, czegoś sama zapragnęła, a miałaś w téj mierze dziwne fantazje... o! miałaś. A potem od szesnastego roku życia, wprowadziłam cię w najlepsze towarzystwo; dawałam sama i daję do dziś dnia, bale, rauty i wieczory tygodniowe; jeździłyśmy co rok za granicę. Cóż ja winna moje dziecko, że to się jakoś tak źle obraca.

HELENA.

Ależ nie mameczko! ty nie masz sobie nic do wyrzucenia.

DORECKI.

I owszem... to żeś robiła rzeczy, zanadto en grand. Ale wreszcie nie twoja to wina, nie nauczono cię oszczędności. Zresztą nie ma jeszcze nic straconego! źleby było żeby dla takiéj jak ty panny nie znalazł się mąż Heluniu. Bądź spokojną, wyszukamy ci coś odpowiedniego.

Lokaj *(meldując)*.

Pan Klapkiewicz.

Łucka.

Proś... proś... Ha! nareszcie.

SCENA 3.

Ciż i Klapkiewicz.

Łucka *(podbiegając naprzeciwko niemu)*.

Jakże się miewa kochany, drogi pan. Myślałam żeś pan już zupełnie o nas zapomniał. Ja i Helusia wydziwić się nie mogłyśmy, co to znaczy że pana nie widać... ale zapominam że przedewszystkiem powinnam pana zapoznać z moim bratem. Mój brat *(przedstawiając)* pan Klapkiewicz o którym ja i Helusia tyle już mówiłyśmy ci.

Drecki.

Panie, miło mi poznać szanownego pana i przytéj sposobności wyrazić mu moją wdzięczność, za opiekę nad moją siostrą i naszą pieszczotką.

Klapkiewicz.

A panie radzco, cóż znowu — to był mój obowiązek i szczęśie panie. Ale teraz pozwolą panie że po powitaniu panny Heleny *(całując Helenę w rękę)* a zawsze piękna jak różyczka — odpocznę sobie trochę; straszniem się zmachał.

Łucka *(podsuwając mu krzesło)*.

Proszę, bardzo proszę.

Klapkiewicz.

Bo ja proszę pań wracam z Marjenbadu. Krótko powiem,— niech go jasny piorun trzaśnie.

Drecki.

Cóż to? nie poskutkował!

Klapkiewicz.

Przeciwnie panie radzco dobrodzieju, nadto!

Drecki.

Hem! więc osłabił?

Klapkiewicz.

Zaraz, opowiem jak było; ale przedewszystkiem czy państwo wierzycie w dnie feralne?

Łucka.

A któżby nie wierzył. Są dnie że jak pójdę do Włodkowskiéj, żadnéj sukni, nędznego ubranka dobrać nie mogę; pięćdziesiąt przerzucę nadaremno; a w inne znowu wszystko idzie jak z płatka.

Drecki.

A mnie czasem do biura nawali się tylu suplikantów, że i apetyt i humor na cały dzień stracę.

Klapkiewicz.

Otóż to proszę państwa; dla mnie nie dzień jest feralny, ale cyfra 3, 13 i wszystko co się kończy na trójkę; ale przedewszystkiem 13. Wyjeżdżam z Warszawy, nie spostrzegłem się był 3 Lipca. W téj Warszawie to człowiek i o datach zapomina. W wagonie spostrzegam; myślę sobie będzie źle, ale cóż trudno, wstrzymać się na nic się nie zdało. Jadę, przyjeżdżam do Marjenbadu i zajeżdżam do Klingera; i cóż pani powie, dają mi numer 13.

Łucka.

Nie podobna!

Klapkiewicz.

Tego nie dosyć. Drukują mnie niemcy w kurliście i nie dość że ze mnie zrobili jakiegoś Klapkiki, ale numer kolej-

ny dostałem 3,313. Od téj chwili byłem przygotowany na wszystko, i gdyby był ksiądz Polak byłbym się dysponował na śmierć.

ŁUCKA.

Co téż pan mówi?...

KLAPKIEWICZ.

Ale tak pani dobrodziejko klnę się Sakramentem. I najlepszy dowód żem przechorował. Ba! byłem o włos od śmierci; a wszystko przez to że łotry Niemcy dla nas wody zatruwają.

DRECKI.

Panie... panie... gdzież być może!...

KLAPKIEWICZ.

Panie radzco, ja toż samo mówiłem — być nie może, alem sprawdził, i zaraz opowiem: Doktor mi powiada w Warszawie, pij pan Kreutzbrunnen. Uczciwy człowiek panie, nie przypuszczał takiéj niegodziwości. Przyjeżdżam — piję sobie dwie szklanki Kreutzbrunu, nie pomaga, piję trzy, nie pomaga, piję pięć państwo łaskawi nie pomaga! ha! cóż robić, wzywam doktora niemca. Dogadać się z kanalją ani sposób, tłumaczę mu na wszystkie maniery;— dałem mu pięć guldenów i na migi jakoś w końcu pojął i zalecił mi mięszać z innego źródła. Mięszam tedy z jednego, z drugiego, wreszcie znudzony coś w tydzień gdy żadnych skutków nie czuję, jakiem kropnął z pięciu źródeł po dwa kubki — fajt państwo łaskawi — cholera! Myślałem że duszę wyzionę — o byłem bardzo źle... ledwom się wygrzebał.

ŁUCKA.

Ale jakże z tem truciem?

KLAPKIEWICZ.

A no, cóż? niemcom nie wystarcza wód prawdziwych na tyle tysięcy osób, więc dolewają co się zdarzy.

Drecki *(n. s.)*

Szlagon zanadto głupi... ha! może to i lepiéj.

Łucka *(do Dreckiego n. s.)*

Helcia nic nie mówi, trzeba ich zostawić samych, może się zdecyduje oświadczyć *(głośno)*. Mój bracie chciałabym abyś przepatrzył akt który mamy podpisać o lokacyą téj summy; czy warunki korzystne. Zostawiemy pana na chwilkę z Helcią; bo to my kobiety, nie znamy się na interessach, kto chce nas oszuka; a rozporządzając znacznemi summami...

Klapkiewicz.

O wiem pani dobrodziejko, wiem i proszę bez ceremonij, ja sie tu nie znudzę.

Drecki.

Nie długo wrócimy *(Drecki i Łucka wychodzą)*.

SCENA 4.

Klapkiewicz, Helena.

Klapkiewicz.

No i cóż panno Heleno, nic pani na to nie mówi że ja tak chorowałem, Mogłem życie stracić.

Helena.

I owszem bardzo mi żal pana; ale ponieważ to już przeszło...

Klapkiewicz.

Tak, to jest jedno przeszło, ale ja się lękam czym za granicą w drugą, jeszcze gorszą nie popadł chorobę.

Helena.

To trzeba się poradzić doktora, że zaś ja nie jestem doktorem...

KLAPKIEWICZ.

Otóż to właśnie panno Heleno... otóż to właśnie że na moją nową chorobę, tylko pani jedna wyleczyć mnie możesz!

HELENA *(n. s.)*

Nadeszła zła chwila — ha, trudno... trzeba dotrzymać com przyrzekła... *(głośno)*. Ja mam zostać doktorem pańskim! Nie uczyłam się medycyny, a zresztą z pana pacyent byłby wymagający.

KLAPKIEWICZ.

Ogromnie pani, ogromnie. Ale też płacę jak król. Raz pamiętam u mnie na wsi... lecz to do rzeczy nie należy. Dosyć że chciałbym koniecznie, abyś mnie pani wzięła w kuracyę, i zrobiła zemnie, najszczęśliwszego obywatela w Gubernii i powiecie Radomskim.

HELENA.

Doprawdy nierozumiem pana.

KLAPKIEWICZ.

Pani mnie nie rozumie,— hę, hę! znamy się na tem. Wszystkie panny utrzymują że nie rozumieją kiedy o tém mowa... figlarki panie.

HELENA.

Ależ zaręczam panu...

KLAPKIEWICZ.

Dobrze, chcesz mnie pani przyprzeć do muru — zatem zgoda. Otóż panno Heleno, mam lat 45, ale czuje się jeszcze młodym, jestem właścicielem pięknéj wsi Nowe Sąki,— szlachcic z dziada pradziada; zresztą jak mnie pani widzi wyglądam nie źle. Otóż to wszystko ośmielam się złożyć pod nóżki pani i spytać czy zechcesz pani zamienić nazwisko Łucka na Klapkiewicz. Cóż pani na to?

HELENA.

Ja nic...

KLAPKIEWICZ.

Nic, a zatem dobrze. Pozostaje mi rozmówić się z mamą i ze stryjaszkiem jako opiekunami pani, nieprawdaż? bo to panny zawsze mówią ja nic nie wiem... ale mama!

HELENA.

Rzeczywiście panie, że i ja w téj mierze nie odstępuję od ogólnie przyjętego przez panny zwyczaju.

KLAPKIEWICZ.

Wiem, wiem. Pani jesteś skromnie i przykładnie wychowaną. A zatem pójdę za mamą i przyniosę odpowiedź że wolno nam się kochać moja śliczna pani. A teraz na zadatek....

HELENA.

O, to za wcześnie!

KLAPKIEWICZ.

Tylko w rączkę.... Idę do mamy *(wychodzi)*.

SCENA 5.

HELENA sama, potem AUGUST.

HELENA.

Zabiegi uwieńczone! za kilka miesięcy będę mieć męża takiego, jakiego chciała moja matka i wuj. Doprawdy ciężkie życie i mimowolnie przychodzi myśl, czy nie lepiéj było się nie rodzić. Wszystkie marzenia, wszystkie sny młodości, pogrzebać w jednéj chwili, uspić na zawsze, i potem grać długą, bezprzestanną komedyą. Kochać go.... nawet szanować nie mogę! i gdybym wiedziała przynajmniéj, że poświęceniem siebie komukolwiek szczęście za-

pewnię,— mojéj matce, choćby nawet jemu. Dziwny świat! kiedy się wieść rozniesie że idę za bogatego obywatela, iluż ludzi powie „szczęśliwa“. Mieć będzie karety, stroje, będzie panią. Ale co tu w piersi dziać się będzie, kiedy przyjdzie wymówić słowa przysięgi do śmierci; o tém nikt nie pomyśli, to nikogo nie zaboli... Być przykutą do takiego słupa... O smutno, to bardzo smutno...

SCENA 6.

HELENA, AUGUST.

AUGUST.

Panie przyjmują?..

HELENA.

Pana zawsze z przyjemnością!

AUGUST.

Wielu ludzi zazdrościłoby mi takiego powitania z ust pani. Ale nie dam im powodu, nie będę się chwalić. Pani sama?...

HELENA.

Mama, wuj i gość nasz pan Klapkiewicz są w buduarze.

AUGUST.

Stawia mnie to w ambarasie. Powinieniem się iść z niemi przywitać; ale wolę korzystać z praw starego kawalera i dawnego znajomego — zostanę tutaj. Kto to jest ten pan Klapkiewicz? jakaś nowa znajomość.

HELENA.

Zrobiona za granicą.

AUGUST.

Młody? stary?

HELENA.

To wygląda na indagacyą.

AUGUST.

Niech to panią nie dziwi — to mój narów, nie umiem mówić jak inni ludzie; a że mi coś przeszło przez głowę, chciałem się dowiedzieć, czy to jest coś qui tire à conséquence?

HELENA.

Tak dalece, że w téj chwili prawdopodobnie oświadcza się o mnie.

AUGUST.

Oho! już tak daleko!

HELENA.

Jak pan widzi.

AUGUST.

A cóż pani na to?

HELENA.

Ja, zapewno przyjmuję go.

AUGUST.

Przyzna pani, że to dosyć oryginalne.

HELENA.

W czem? że pójdę za mąż; czyż mi to nie czas? zdaje mi się że większa część panien na tém kończy.

AUGUST.

Albo zaczyna. I jakże wygląda ten in spe, mąż pani.

HELENA.

Podobny do innych ludzi.

AUGUST.

Jeśli i do mnie to winszuję, ale nie zazdroszczę.

Helena.

Dziwię się złéj opinii jaką pan masz o sobie.

August.

Przeciwnie pani mam doskonałą... bo prawdziwą.

Helena.

Czy pan sądzisz panie Auguście, że kobiety tylko powierzchowność cenić umieją?

August.

Nie pani, ale przekonanie mam że warunki zewnętrzne powinny odpowiadać wewnętrznym; dusza piękna powinna mieszkać w pięknem ciele. Nie żądam kształtów Apollina, ale od najskromniejszych wymagań, do mnie tak daleko, że z wszelką słusznością, mogę się czuć pokrzywdzonym przez matkę naturę. Jestto nawet zdanie które w zupełności podziela jeden z moich przyjaciół, nie dawnych, ale dobrych, młody malarz z wielkim talentem... Uszyński. Czy wie pani że jakkolwiek miałem od dni kilku nie kłamaną ochotę odwiedzenia pań, to dziś głównie mój przyjaciel jest powodem mojéj wizyty.

Helena.

Żałuję w takim razie, że nie mogę podziękować przylacielowi pana.

August.

Panno Heleno rosnę doprawdy! to już drugie miłe słówko w ciągu 5ciu minut. Ale co do osobistego podziękowania, toby się cudownie złożyło, bo ten młody człowiek, płonie chęcią poznania pani.

Helena.

Płonie... cóż za wyrażenie.

August.

A jednakże c'est le mot. Wyobraź pani sobie, że najdziwaczniejszym zbiegiem okoliczności widział panią kiedyś... ale tylko na chwilę. Otóż młodemu artyście nie wiem zkąd wymarzyło się, że pani byłabyś cudownym modelem do wielkiego obrazu jaki malować zamierza. Co to jest imaginacya artystyczna! dosyć że ja, który jak pani wiesz mam jakąś słabość do tego narodu fanatyków, postanowiłem nastręczyć mu pożądaną sposobność. Jakże pani uważa? czy zgodzą się panie na to abym zrobił zadość, temu zobowiązaniu?

Helena.

Doprawdy wprawia mnie pan w kłopot rzeczywisty. Gdybyś pan bez tego wstępu powiedział że życzysz sobie kogoś wprowadzić do nas, byłabym od razu bez namysłu, znając usposobienie mamy dla pana, powiedziała: prosimy. Ale teraz potrzeba upoważnienia władzy wyższéj, bo położenie jest skomplikowane.

August.

Zyskamy zatem jéj aprobatę. A teraz kiedy zdaje mi się że dogodzę żądaniom mojego protegowauego, pomówmy na seryo o pani, panno Heleno. Czy na prawdę chcesz pani wyjść za tego pana Klapkiewicza?

Helena.

Czyż się idzie za mąż na żarty?

August.

Wierz mi pani, że z wielu kobiet które znam, pani jedna dotąd dla mnie pozostajesz nieodgadnioną.

Helena.

Dziwię się temu, nic nie mam do ukrycia. Wytwarzasz pan sobie o mnie pojęcie, które nie zgadza się z rze-

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

czywistością. Jestem taką jaką mnie pan widzisz, panną na wydaniu.

AUGUST.

Nie, pani jesteś sfinxem.

HELENA.

W każdym razie nikt przezemnie w morzu nie zginął.

AUGUST.

Kto to wie... jesteś pani w początkach karjery.

HELENA.

mnie się zdaje że ją kończę!

SCENA 7.

CIŻ, KLAPKIEWICZ, ŁUCKA, DRECKI.

KLAPKIEWICZ.

Pani dobrodziejko nie umiem wyrazić mojéj wdzięczności i zadowolenia. Panie radzco jestem zachwycony.

ŁUCKA.

Obyście tylko byli szczęśliwi... Ach! pan August.

AUGUST.

Tak pani ze skórą, kościami i wszystkiemi nieszczęściami mojemi... Jak się masz Teodorze.

DRECKI.

Nie pokazałeś się od dwóch tygodni.

AUGUST.

A dziś przychodzę na ostatni akt komedyi.

DRECKI.

Więc wiesz *(rozmawia z Augustem; Łucka z Klapkiewiczem przechodzą do Heleny)*.

ŁUCKA.

Moja córko, obecny tutaj pan Klapkiewicz, którego choć znamy nie dawno, lecz szanujemy i kochamy — przed chwilą oświadczył nam się o twoją rękę. My z wujaszkiem, oceniając jego prawy charakter, serce, rozum i wszystkie przymioty, które zresztą widnieją w téj szlachetnéj twarzy, nie chcemy tamować skłonności serca twojego i błogosławiemy wam z całéj duszy.

HELENA.

Innemi słowy mówiąc, mama i wujaszek życzycie sobie tego związku.

ŁUCKA.

Z całego serca.

HELENA.

Panie Klapkiewicz, możesz pan zająć się odpowiedniemi przygotowaniami; ja z méj strony będę gotową na dzień oznaczony *(wychodzi)*.

KLAPKIEWICZ.

Będzie gotowa, strasznie coś na zimno... Ha! to pewno zwyczaj teraz taki; skutki skromnego wychowania.

ŁUCKA.

A teraz kochany panie, kiedyś pan już słyszał zezwolenie z ust Heleny...

KLAPKIEWICZ.

Tak... ale przyznam się pani dobrodziejce, że ja nie wiele słyszałem. Przydałoby się więcéj.

ŁUCKA.

Nie dziw się pan téj pozornéj obojętności, pod tą powłoką wulkan się kryje. Tylko rozumiesz pan, dziewczyna wychowana starannie...

KLAPKIEWICZ.

Tak, rozumiem... ale zawsze bym wolał, choć mały uśmiech przynajmniéj.

ŁUCKA.

Oj ci zakochani... naśmiejecie się po ślubie do woli... do przesytu... No, ale teraz... trzebaby pomówić o rzeczach poważnych, o zaręczynach.

KLAPKIEWICZ.

Tak jest... mówmy o zaręczynach i o ślubie.

ŁUCKA.

Ja sądzę, że na zaręczyny trzeba dać bal.

KLAPKIEWICZ.

Bal rozumie się, koniecznie! i to bal świetny.

ŁUCKA.

Tylko widzi pan, że to mnie kobiecie, ciężko będzie tém wszystkiem się zająć. Jestem bez rady... pomocy... mój brat także zajęty czynnościami w biórze...

KLAPKIEWICZ.

Ah! pani... pani łaskawa, od czegóż to ja jestem. Czyliż nie należę do familij... nie jestżem od dziś dnia pani synem, a w przyszłości ojcem pani wnuków.

ŁUCKA *(n. s.)*

Synem... wnuków, fi donc! qu'il est commun *(rozmawiają dalćj)*.

AUGUST.

Swoją drogą mój kochany, popełniliście wielki błąd.

DRECKI.

Bardzo dobra partya, kocha Helenkę, podobał się jéj.

AUGUST.

Dajże pokój z tą blagą, że jest dobrą partją w to wierzę... że kocha pannę Helenę w to równie wierzę, jest zanadto piękną na to. Ale żeby on jéj się podobał!.. Zlituj się, toż ja w porównaniu byłbym wcale niczego... i gdybym był to wiedział...

DRECKI.

To co?

AUGUST.

Ha! kto wie, może byłbym probował szczęścia.

DRECKI *(n. s.)*

Pospieszyliśmy się zanadto.

KLAPKIEWICZ.

Pójdę jeszcze do panny Heleny, a potem zajmę się przygotowaniami. Wszak mam prawo ucałować jéj rączki? prawda mamo? *(wychodzi za Heleną).*

ŁUCKA.

Najzupełniejsze! *(n. s.)* il est du dernier ridicul! ale mam bogatego zięcia!

SCENA 2.

DRECKI, AUGUST, ŁUCKA, KLAPKIEWICZ.

ŁUCKA.

Cóż pan na to panie Auguście?

AUGUST.

Mówię że tarde venientibus ossa.

ŁUCKA.

To znaczy?

AUGUST.

Że spóźniający się podwójnie traci.

ŁUCKA.

Nie rozumiem.

AUGUST.

A ja nie mogę jaśniéj się wytłomaczyć, a więc dajmy temu pokój. Kiedyż zaręczyny?

ŁUCKA.

Za dwa tygodnie. Klapkiewicz upiera się abyśmy dali bal, a ja jako dobra matka nie mogłam mu odmówić.

AUGUST *(n. s.)*

Wierzę!

ŁUCKA.

Będziesz pan zaproszony.

AUGUST.

Wolałbym prosić!

ŁUCKA.

Co pan mówi?

AUGUST.

Nic! niech pani to uważa za nie powiedziane. A propos, czy pozwoli mi pani, wprowadzić jednego z moich przyjaciół na ten wieczór?

ŁUCKA.

Sądzę że nie potrzebujesz pan pytać o to. Ale w każdym razie radabym wiedzieć, co znaczyło „wolałbym prosić“ i to: zapóźno.

AUGUST.

Niestety nie mogę się jaśniéj tłumaczyć.

Łucka *(do Dreckiego).*

Zanadtośmy się pospieszyli.

Drecki *(do Łuckiéj).*

Toż samo przed chwilą mówiłem!

Łucka *(j. w.)*

Bo też to zrobiło się tak niespodziewanie... ty tak naglileś...

Drecki.

Ależ przeciwnie to ty...

Łucka (*j. w.*)

Masz tobie, teraz ja! któż mówił o koniecznéj potrzebie i o tem że on nie chce wcale.

Drecki (*j. w.*)

No bo uważasz...

August *(n. s.)*

Gryźcie się, kość rzucona.

Klapkiewicz (*mówi w kulisę*).

Ślicznotko moja do widzenia. Pani łaskawa, mamo, kochany wujaszku, już wszystko ułożone. Za dwa tygodnie, zaręczyny; a w dwa miesiące ślub i to 13, na złość losowi. Raz pokażę że ferał zwyciężę.

August (*staje za nim*).

A ja bym panu radził nie probować (*kłania się i wychodzi*).

Klapkiewicz.

Kto jest ten jegomość?

Drecki.

To nasz znajomy, Nowowiejski. Nie uważaj pan na to; excentryczny trochę!

KLAPKIEWICZ.

Przeraził mnie...

DRECKI.

O bądź pan spokojny! (*n. s.*) można będzie odrobić!

KLAPKIEWICZ.

Bo proszę pani...

ŁUCKA.

Ale zapewniam pana. (*n. s.*) Jakby się tu cofnąć?

KLAPKIEWICZ.

A zatem mamo, wujaszku, do widzenia. Za dwa tygodnie zaręczyny, a 13 Listopada ślub.

DRECKI *(do Łuckiéj)*.

Jak się August zdeklaruje...

ŁUCKA (*do Dreckiego pokazując Klapkiewicza*).

To jemu damy figę!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

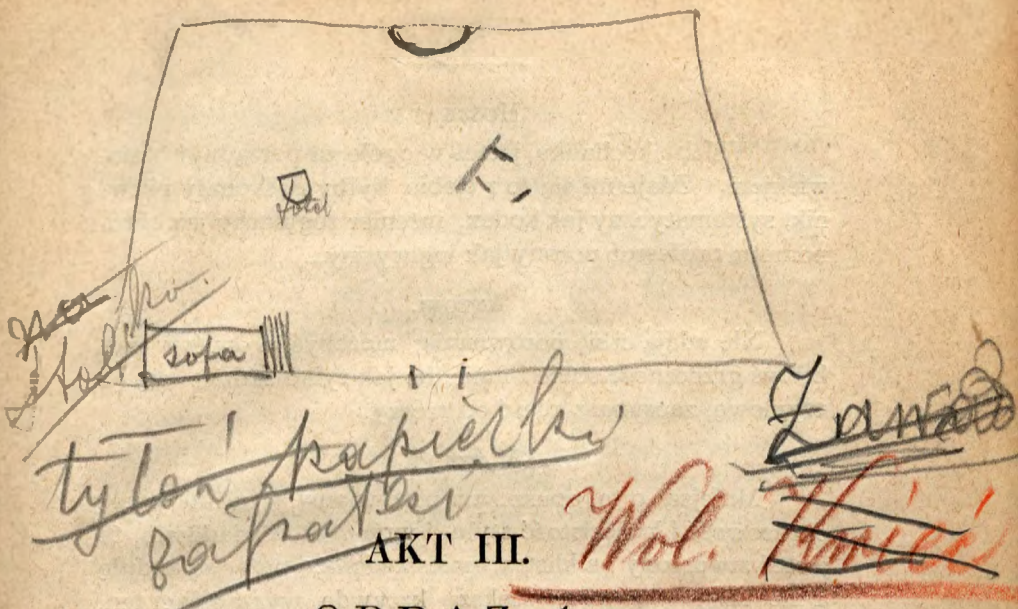

AKT III.

OBRAZ 1.

(Pracownia malarza, stoją sztalugi z zaczętemi obrazami... kilka blejtramów. Na ścianach wiszą obrazy. Skromne umeblowanie z przodu sceny; z lewéj przy sztalugach maluje Antoni w bluzie, z prawéj w głębi leży Muszkat z fajką).

SCENA 1.

ANTONI, MUSZKAT.

MUSZKAT.

Wiesz co Antoni, ty źle skończysz!

ANTONI.

Z powodu?

MUSZKAT.

Żeś ty tak stworzony na artystę, jak ja na księdza.

ANTONI.

Proszę! czemże motywujesz to zdanie?

Muszkat.

Widzisz kochanku, jesteś w ogóle za porządnym człowiekiem. Zdaje mi się że z ciebie byłby doskonały prawnik, systematyczny jak kodex, inżenier regularny jak chronometr; professor uczony jak logarytmy...

Antoni.

Nie udają ci się porównania; możebyś je opuścił zrobiłbyś grzeczność sobie i mnie, bo jak tylko sadzisz się na wymowę, zaczynasz pleść od rzeczy.

Muszkat.

Mniejsza o to, opuszczam porównania, rzucam precz obrazowość i kwiecistość stylu i wręcz ci oświadczam, że jesteś stworzony na filistra, mieszczucha, męża safandułę a nie na malarza i największą krzywdę wyrządził ci ten, kto ci wsadził w rękę pędzel i paletrę.

Antoni.

Jużem ci powiedział, że słyszę tylko słowa, vox praeterea nihil.

Muszkat.

Chcesz dowodów... słuchaj i odpowiadaj bez wykrętów. Ile razy upiłeś się jak jesteś w Warszawie?

Antoni.

Raz jeden z tobą i z Jerzym.

Muszkat.

Wielki Boże! i on to nazywa upiciem się! bluźnierco wypiłeś butelkę szampana i cóż? czyś poszedł potem oglądać kolumnę Zygmunta i mieć mowę do syren wyrzucających wodę? czyś wymyślał na księżyc, że ma zawsze jednakowo glupią gębę? czyś próbował przewracać gazowe latarnie, zdzierać szyldy, zaczepiać przechodniów, lub choćby dzwonić do bram z pytaniem czy tu nie mieszka

pan kukuryku, albo panna ciuciuruciu? wstyd powiedzieć, jak Anglik po dzbanku porteru, lub oksefcie portweinu, poszedł najspokojniéj do domu spać się położyć... I to się nazywa artysta.

ANTONI.

Cóż chcesz, przyznaję się do winy. Mea culpa! nie lubię wina, bo mi sprawia zawrót głowy.

MUSZKAT.

Zawrót głowy! dałby to pan Bóg żebyś mógł cierpieć zawrót głowy, ale twój czerep jest tak silnie przytwierdzony do kadłuba, że go nie tylko wino, ale i sam djabel nie zawróci. Naprzykład powiedz mi co ty myślisz o Róży?

ANTONI.

Myślę że jest bardzo przystojna dziewczyna.

MUSZKAT.

Byłem tego pewny. Przystojna dziewczyna! bluźniercо, heretyku, poganinie, mameluku... przystojna dziewczyna! Królowa modelów! brunetka, biust jak ulany, łydka utoczona! I ten zbrodniarz nazywa ją przystojną dziewczyną. Zachwyt rzeźbiarzy, przedmiot westchnień 10 artystów i 200 bazgraczy; ideał wszystkich uczniów w pracowniach, cel madrygałów tysiąca studentów i wszystkich aspirantów na poetów, a Bóg jeden wie, ile téj chałastry codzień przychodzi na świat i on ją nazywa przystojną dziewczyną. I pomyśleć że ona usycha z miłości dla tego ludożercy! Wiesz stoisz dla mnie niżéj od Persa, Chińczyka, Samojeda, od magota nawet.

ANTONI.

Zlituj się pofolguj nieco, bo schodzisz do grubych wyrażeń.

MUSZKAT.

Nie znajduję dość grubych na oddanie moich myśli,

wyrodzi je może język przyszłości. Zresztą żebym cię przekonał o twojéj nicości moralnéj — jeszcze dwa zadam ci pytania. Masz kochankę?

ANTONI.

Mam.

MUSZKAT.

Jak się nazywa? gdzie mieszka? ile ma lat? jak wygląda?

ANTONI.

Mieszkała u starożytnych na Helikonie, dla mnie mieszka w mojéj głowie i sercu, żyje od wieków, a jest wiecznie młodą, wygląda jak bóstwo, a nazywa się sztuka.

MUSZKAT.

A ja zacząłem go słuchać poważnie; jakby z tych ust mogło wyjść coś ze zdrowym sensem. Bałwochwalco! a toż ja właśnie w imieniu téj sztuki przemawiam do ciebie, sztuki, którą znieważasz swojem życiem, którą bezcześcisz swojem niegodnem postępowaniem. Ale będę cierpliwym do końca. Ostatnie robię ci pytanie: ileś winien żydom?

ANTONI.

Ani grosza!

MUSZKAT *(z wielką uroczystością)*.

Słuchajże mnie teraz. Ja, Jan Chryzostom Muszkat, rzeźbiarz na marmurze i granicie, odlewacz z gipsu, spiżu, miedzi i bronzu, artysta sztuk wyzwolonych i wiceprezes klubu fixatów posiedzenia swe u Bronki pod wiszącą gęsią odbywającego, w imieniu wszystkich członków tegoż klubu, rzeźbiarzy, malarzy, poetów, dziennikarzy, aktorów, dramaturgów, etc., etc... wyrzekam na ciebe klątwę, banicyą z towarzystwa ludzi czynu i fantazyi, wyganiam cię z Helikonu i Olimpu, wypędzam z krainy wina i pięknych

dziewcząt i skazuję cię na śmierć przez opicic się wodą wiślaną, lub na dożywotnie ciężkie roboty przy pięćdziesięcioletniéj babie. Wyrok ferowany, zapadaj się. A teraz proszę cię powiedz mi gdzie chowasz tytoń? chciałbym sobie nową fajkę nałożyć.

ANTONI.

W stoliku na lewo. Tylko nie kopć tak bardzo, bo mi blejtramy zakopcisz.

MUSZKAT.

Nic nie szkodzi będą wyglądały jak antyki.

SCENA 2.

CIŻ I KLAPKIEWICZ.

KLAPKIEWICZ.

Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

ANTONI.

Ach! zapomniałem zupełnie o posiedzeniu — proszę, pana, zaraz panu będę służył.

KLAPKIEWICZ.

To nic nie szkodzi ja się nie zniecierpliwię, mam czas dzięki Bogu! Chodzi mi tylko o to, aby portret był podobny i jak najprędzéj ukończony.

ANTONI.

Potrzebuję co najwyżéj dwóch posiedzeń.

KLAPKIEWICZ.

A zatem wybornie; choć wolałbym aby był dzisiaj. No ale kiedy nie można...

MUSZKAT (*do Antoniego n. s.*)

Co to za oryginał?

Antoni *(do Muszkata)*.

Jegomość który się chce uwiecznić dla swojéj narzeczonéj, a że płaci dobrze...

Muszkat *(j. w.)*

Harpagon! sprzedawać pędzel.

Antoni *(j. w.)*

Wolałbyś żebym go zastawiał.

Klapkiewicz *(do Muszkata)*.

Czy pan dobrodziéj także się daje malować?

Muszkat.

Nie panie. Moja gęba jest na to za pospolita. Ja się wykuwam w marmurze; w ten sposób i rysy twarzy nabierają czegoś marmurowego, kamiennego.

Klapkiewicz.

Kamiennego? patrzajże pan a to szkoda że niewiedziałem, byłbym sobie także marmurową głowę sprawił.

Muszkat.

Niepotrzeba, pańska i tak jest niepospolita! ma w sobie coś piramidalnego, egypskiego.

Klapkiewicz.

Egypskiego?

Muszkat.

Tak jest, przypomina nawet starożytnego boga... Apisa. Żegnam cię panie *(wychodzi)*.

SCENA 3.

Klapkiewicz, Antoni, później August.

Klapkiewicz.

Apisa! nie słyszałem o tym bogu, muszę się rozpytać. Czy już pan zaczyna?

ANTONI.

Jestem gotów, wróciemy tylko do dawnéj pozy.

KLAPKIEWICZ.

Aj, najcięższéj to utrzymać tę pozę.

ANTONI.

I owszem, zdaje mi się że jest zupełnie naturalna i niepowinna panu robić przykrości. Prosiłbym tylko o więcéj ożywienia; jakieś zajęcie się, uśmiech na twarzy!

KLAPKIEWICZ.

Czy tak dobrze?

ANTONI.

To nie jest uśmiech, to skrzywienie się komiczne. Niech mi pan opowie coś, albo przywoła na pamięć jakieś miłe wspomnienie...

KLAPKIEWICZ.

Miłe to trudno. Złe tobym sobie przypomniał, Marjenbad. Choć i to nie tak bardzo złe, tam się poznałem z moją narzeczoną.

ANTONI.

Tak, niech pan myśli o swojéj narzeczonéj.

KLAPKIEWICZ.

Było to w piątek. Patrzcież państwo dzień feralny, pierwszy raz to spostrzegłem. Nie, ale nie kończył się na trzy, jak dzisiejszy. Te panie przyjechały w odwiedziny do kogoś do Marjenbadu, zatrzymały się na jeden dzień, późniéj pojechaliśmy do Drezna. Ale miałem się też pana spytać, czy jabym nie mógł być na tym portrecie w niebieskim krawacie?

ANTONI.

Mogę panu zmienić; tylko na miłość boską nie zmieniaj pan pozy.

KLAPKIEWICZ.

A kapelusza nie módłbym mieć na głowie? mnie w kapeluszu daleko jest lepiéj, gotówbym dopłacić...

ANTONI.

Siedź pan spokojnie na rany Boskie. Na kapelusz już zapóźno, głowa inaczéj by wyglądała. Znów się pan ruszasz *(n. s.)* A to nieznośne!

KLAPKIEWICZ.

Ja siedzę jak mur. Szkoda że nie mogę być w kapeluszu; inaczéj zupełnie wyglądam.

AUGUST *(wszedł i chwilę w milczeniu przypatrywał się scenie)*.

AUGUST *(n. s.)*

Poczciwy szlachcic ani wie jaki ja mu kapelusz gotuję *(głośno)*. Jak się masz Van Dyku.

ANTONI.

Ah! to pan, panie Auguście! zawsze niespodziewany...

AUGUST.

A nie zawsze przyjemny.

ANTONI.

Dla mnie zawsze...

AUGUST.

Dziękuję ci mój chłopcze i wierzę ci, tem bardziéj że dziś przynoszę ci dobrą wiadomość. Ale pozwól, że przywitam się z twoim modelem...

ANTONI.

Znasz go pan?

AUGUST.

Troszeczkę.

ANTONI.

Nie zazdroszczę panu; choć nie malujesz go pan, to już dużo.

AUGUST *(do Klapkiewicza).*

Widzę z przyjemnością że pan swojéj narzeczonéj gotujesz miłą niespodziankę.

KLAPKIEWICZ.

Aha tak, chciałem rzeczywiście... *(n. s.)* Mam dziwną antypatyę do tego jegomościa i czepia się mnie *(głośno).* W istocie ja chciałem .. pana bo zdaje mi się miałem przyjemność...

AUGUST.

A chciéj pan wierzyć że cała przyjemność była tylko z mojéj strony. Więc tedy kochany panie żeniemy się.

KLAPKIEWICZ.

Tak jest, żeniemy się. To jest właściwie mówiąc, ja się żenię.

AUGUST.

I dziś wyprawiamy sute zaręczyny.

KLAPKIEWICZ.

Tak, wyprawiam zaręczyny... To jest te panie wyprawiają zaręczyny *(n. s.)* moim kosztem.

AUGUST.

Otóż to co się nazywa szczęśliwy wypadek. Wyobraź że pan sobie, że te panie prosiły mnie właśnie, abym im na dzisiejszy wieczór przyprowadził pana Uszyńskiego. Otóż byłem w prawdziwym kłopocie, czy moje zaproszenie przyjąć zechce i czy ono mu wystarczy. No ale

kiedy spotkałem tu pana, pana który już przecież masz pewne prawa w domu pani Łuckiéj, to we dwóch jakoś łatwiéj nam pójdzie.

KLAPKIEWICZ.

Jakto! te panie życzą sobie żebym im przyprowndził malarza?

AUGUST.

A naturalnie. Widzi pan, powiem panu poufnie że podejrzywam pannę Helenę, że chce dla pana zgotować miłą niespodziankę i dać panu swój portret. Wiesz pan że Uszyński słynie z portretów. No rozumiesz pan, to jasne.

KLAPKIEWICZ.

A no tak... to jasne... Jednakże malarz na balu.

AUGUST.

A zkądże przybywasz kochany panie, z Antypodów? Bez artystów teraz żadne przyzwoite zebranie obejść się nie może.

KLAPKIEWICZ.

No to téż będzie orkiestra.

AUGUST *(n. s.)*

Zdaje mi się że pan Bóg przez szczególną dla mnie dobroć wskrzesił zwierzę przedpotopowe *(głośno)*. Panie łaskawy krótko i węzłowato, życzeniem panny Heleny jest żeby Uszyński był na balu. Jak go pan nie zaprosisz nie przyjdzie; wina spadnie na pana.

KLAPKIEWICZ.

A cóż znowu! życzenia panny Heleny są dla mnie rozkazem.

AUGUST.

A więc...

KLAPKIEWICZ.

A więc idę i proszę *(postępuje do Uszyńskiego: po chwili wraca do Augusta)*. Wie pan co, ja już wolę napisać, czuję że to nie pójdzie mi tak gładko. Zapraszać malarza!

AUGUST.

Rób pan jak chcesz; ale jak się obrazi i nie przyjdzie...

KLAPKIEWICZ.

O wystylizuję panie, list co się zowie. Napiszę jak do kanonika;— bądź pan spokojny. Idę zaraz i piszę list.

AUGUST.

Nie masz pan czasu do stracenia w takim razie.

KLAPKIEWICZ.

Tak to prawda, muszę pisać z poł godziny. A jak go tytułować: Wielmożny mości dobrodzieju.

AUGUST.

Rozumie się co najmniéj.

KLAPKIEWICZ.

Już wiem. Żegnam pana *(idzie do Uszyńskiego)*. Malowanie już skończone więc odchodzę. Przyślę tu za jaką godzinę liścik do pana... A teraz żegnam.

ANTONI.

Jeśli jaki interes to może pan ustnie załatwić *(n. s.)* ~~może zapłaci z góry!~~

KLAPKIEWICZ.

O nie panie, wolę na piśmie... Do widzenia *(odchodząc)*. Oryginalne... malarz! ale ona chce... *(wychodzi)*.

SCENA 4.

AUGUST, ANTONI.

ANTONI *(chwilę retuszuje portret, potem odsuwa go na bok).*

No dzięki Bogu, prawie skończony.

AUGUST.

Nie bardzo przyjemna robota, co?

ANTONI.

Przyznaję. Malowanie portretów nie jest pracą niewdzięczną o tyle o ile w modelu znaleźć można, choćby najmniejszy ślad, odbłysk czegoś wyższego: wyraz oczu, czoło wyniosłe, nos orli, choćby wargi zaciśnięte, lub dumne obwisłe. Ale kiedy w twarzy nie ma nic, nic prócz głupoty...

AUGUST.

Wtedy się robi portret głupca i rzecz skończona.

ANTONI.

Nie! wtedy robi się portret głupi, a to duża różnica.

AUGUST.

Mniejsza o to, nie będę się spierał z tobą; znasz się na tem lepiéj jak ja. Ale, a propos wiesz ty kto to jest ten jegomość?

ANTONI.

Jakiś pan Klapkiewicz.

AUGUST,

Jakiś!.. obchodzi cię może więcéj niż ci się zdaje. Wszak malujesz jego portret dla narzeczonéj?

ANTONI.

Zdaje mi się że mówił mi coś podobnego.

AUGUST.

Otóż ta narzeczona jest ni mniéj, ni więcéj jak piękną blondynką, którą widziałeś kiedyś u Dreckiego. Cóż ty na to?

ANTONI.

Mówię że świat jest sobie dosyć nędzną instytucyą.

AUGUST.

Oho! kochanku zaczynasz filozofować. Że ładna panna idzie za głupiego brzydala toś ty zaraz gotów dostać Weltschmerzu... poczekaj jeszcze, poczekaj. Nie wątpię żebyś wolał żeby poszła za ciebie, ale...

ANTONI *(przerywając)*,

Mylisz się pan; nie przeszło mi nigdy przez głowę żenić się. Ot chciałbym po prostu, żeby dwoje ludzi dobrało się przynajmniéj jako tako, kiedy tu o ile mi się zdaje z jednéj strony wszystko, a z drugiéj nic.

AUGUST.

Duszko zapomniałeś o pieniądzach, a to nervus rerum na świecie. Choć nie przeczę że tu stosunek jest dosyć ciekawy i dla tego właśnie chcę ci dać sposobność do bliższych obserwacyi.

ANTONI.

Mnie! a toż na co?

AUGUST.

Zaraz chcesz szukać przyczyn. Tak sobie przeszła mi myśl przez głowę i liczę na to że ponieważ ci to szczególnéj przykrości nie zrobi, pójdziesz ze mną na bal zaręczynowy pana Klapkiewicza. Za to zobaczysz tam przyjemną niespodziankę, jaką mu zgotowałem.

ANTONI.

Ależ gdybym chciał nawet, to jeszcze muszę być zaproszonym.

AUGUST.

Chodzi mi naprzód o to żebyś chciał... a zaproszenie... (*wchodzi lokaj z listem*) Ot i masz je.

LOKAJ.

Proszę pana, list od pana Klapkiewicza z hotelu Polskiego, do Pana Uszyńskiego.

ANTONI.

To do mnie... daj (*czyta*). Miałeś pan racyą zaproszenie. Mam zaszczycić moją obecnością zaręczyny i w dodatku jestem wielmożnym mości dobrodziejem.

LOKAJ.

Czy nie będzie odpowiedzi?

ANTONI.

Powiedz że dziękuję i...

AUGUST.

I że ten pan przyjdzie. Ale ty pewno innéj odpowiedzi chciałeś?

LOKAJ.

Tak! zdało by się na piwo.

AUGUST.

Na masz i rejteruj (*Lokaj wychodzi*). Lubię ludzi którzy się jasno tłomaczą. No a teraz Van Dyku czekaj na mnie wyświeżony o godzinie 11-éj u Loursa przyjadę po ciebie. Muszę tam być sam trochę wcześniéj... tylko pamiętaj punktualnie. Bądź zdrów.

ANTONI.

Ależ ja nie wiem czy pójdę!

AUGUST.

Pójdziesz jak nie dla siebie, to dla mnie. Do widzenia! a pamiętaj o jedynastéj (*wychodzi*).

SCENA 5.

ANTONI sam.

Oryginalny jest. Po co ja tam pójdę? widziałem tę pannę raz jeden, jéj zaręczyny nie obchodzą mnie. Ładne stworzonko to prawda, nawet bardzo ładne. Głowa przypomina kameę. Dziwny ten August... Ha! pójdźmy po krawat i rękawiczki białe. Chce tego, a przecież na balu mnie nie zjedzą (*wychodzi*).

OBRAZ 2.

(Sala wspaniale umeblowana w mieszkaniu Łuckiéj, z lewéj wielkie tremeau, z prawéj kanapa i krzesła, w głębi zasłona podnosząca się do sali balowéj).

SCENA 1.

ŁUCKA *(przed lustrem poprawia toaletę, Antosia poprawia jéj ubranie).*

ŁUCKA.

To camargo jest fatalne, z prawéj strony zupełnie krzywo, popraw Antosiu. Trzeba przypiąć szpilkami, a tu podnieść cokolwiek... Ah! Boże jakażeś ty nie zręczna.

ANTOSIA.

Robię co mogę proszę pani... a jeżeli...

ŁUCKA.

No już dosyć... dosyć. Daj mi puder. (*Antosia podaje pudełko, Łucka upudrowawszy się*). No jakże... czy dobrze wyglądam?

ANTOSIA.

Prześlicznie proszę pani, jak zawsze.

ŁUCKA.

A może jeszcze trochę pudru? albo brylantowego na włosy.

ANTOSIA.

Nie... zdaje mi się że tak jest doskonale *(n. s.)* Wygląda jak szczur z mąki.

ŁUCKA.

A loki czy dobrze przypięte, boję się by nie odpadły.

ANTOSIA.

Trzymają się mocno.

ŁUCKA.

No to i dobrze! Idźże teraz do panny Heleny i jéj pomóż się ubierać. A niechże się upudruje.

ANTOSIA.

Kiedy panienka niechce

ŁUCKA.

Ale ja chcę za nią; a wreszcie niech robi jak jéj się podoba. Idź już... ale czy tylko mi dobrze w téj sukni, powiedz szczerze?

ANTOSIA.

Prześlicznie. *(odchodząc n. s.)* Stary babsztyl i to jeszcze chce się stroić!

SCENA 2.

ŁUCKA, potem DRECKI.

ŁUCKA *(przegląda się jeszcze przed lustrem, pudrując się).*

Zdaje mi się że jest zupełnie dobrze; tylko to niegodziwe comargo, humor mi psuje. To niedbalstwo, nie do darowania! choć teraz tak podpięte już nie źle. Ale cze-

mu w magazynie tak nie zrobili. Ciekawam jak się też ubierze prezesowa. Zawsze ma takie toalety wyszukane, pretensyonalne i za młode... bo co o sędzinę to jestem spokojna wygląda zawsze jak koczkodan.

DRECKI *(wchodzi)*.

Jużes gotowa moja siostro, to bardzo dobrze, bo za chwilę przyjdzie Nowowiejski.

ŁUCKA.

Jakże ci się moja suknia podoba?

DRECKI.

Bardzo... bardzo!

ŁUCKA.

A ubranie głowy?

DRECKI.

Równie piękne.

ŁUCKA.

Wyobraź sobie że mi camargo na nic popsuli w magazynie.

DRECKI.

Przepraszam cię kochana siostro, nie mamy czasu teraz mówić o tém co ci popsuli w magazynie... są rzeczy ważniejsze...

ŁUCKA.

Ależ pozwól...

DRECKI.

Opowiesz mi potem... Teraz chodzi o rzecz ważną, niesłychanie ważną, którą trzeba gruntownie zbadać i dobrze się nad nią zastanowić. August chce się żenić.

ŁUCKA.

Domyślałam się tego... ale czy na pewno?

Drecki.

Powiedział mi stanowczo.

Łucka.

Cóż teraz zrobiemy z Klapkiewiczem, takeśmy się zaawansowali... a to wszystko przez ciebie.

Drecki.

Przeciwnie przez ciebie... Gdybyś nie była tak pięknie administrowała majątkiem Helenki, nie potrzebaby było męża na gwałt.

Łucka.

Robisz mi wymówki... mnie która całe życie poświęciłam dla mojego dziecka... która...

Drecki.

Bój się Boga... tylko nie dostań attaku nerwowego. Dajmy pokój sprzeczkom i myślmy o przyszłości. Widziałem się z Augustem... i oświadczył mi się o Helenę... tak jak to on zwykle w sposób żartobliwy, ale zawsze oświadczył się. Ja mu równie w formie żartu powiedziałem że pomówię z tobą i żeby przyszedł przed zaczęciem wieczoru to mu damy odpowiedź. Czuję że przyjdzie. Cóż mu zatem odpowiemy?

Łucka.

Ile może mieć Klapkiewicz?

Drecki.

Pięćkroć co najwyżéj.

Łucka.

A on?

Drecki.

Nowowiejski, ma dwie wsie i parękroć kapitału. Ze sto tysięcy rocznego dochodu.

Łucka.

Nie ma się co namyślać. Klapkiewicza odprawiemy z kwitkiem.

Drecki.

Tylko w tem kwestya, czy się da tak łatwo odprawić.

Łucka.

Nikt go się o pozwolenie nie spyta.

Drecki.

A jak zrobi skandal.

Łucka.

Jakiem prawem? wszyscy wiedzą że się o Helenkę starał, ale nikt nie wie że został przyjęty... Dzisiejszy bal jest wprawdzie dany na zaręczyny ale ja nikogo na zaręczyny nie prosiłam, tylko na zwyczajny wieczór.

Drecki.

Tak, to dosyć sprytnie! ale pierścionki przygotowane.

Łucka.

Posłużą do zaręczyn z Augustem.

Drecki.

A Helenka co na to powie?

Łucka.

Otóż to sęk prawdziwy. Gotowa się uprzeć że już tamtemu dała słowo. Oh! te dzieci teraźniejsze! szła za Klapkiewicza jak z musu, jak ofiara... boczyła się na mnie przez ten cały czas. Teraz jéj zaproponuje Augusta... zobaczysz co zrobi... Ja niewiem jak się to teraz ten egoizm od najmłodszych lat rozwija.

Drecki.

Cóż chcesz? inne przykłady! inne wychowanie.

ŁUCKA.

Ja jéj pewno dawałam najlepsze.

AUGUST *(za scena.)*

Dziękuję ci mój chłopcze, sam trafię do pani.

ŁUCKA.

A ot i August. Pokazuje się że to na serio.

DRECKI.

Wszak ci mówiłem. Więc przyjmujemy go?

ŁUCKA.

Bez wachania.

SCENA 3.

CIŻ I AUGUST.

AUGUST.

Nie ma co mówić, urządzenie wspaniałe. Moje uszanowanie pani, jak się masz Teodorze! jak widzisz stawiam się punktualnie. Proszę pani czy to gustem pana Klapkiewicza ubrane salony?

ŁUCKA.

Cóż znowu, ten pan przecież nie ma prawa jeszcze tu gospodarować.

DRECKI.

Nie jest tu jeszcze u siebie.

AUGUST *(n. s.)*

Ślicznie, już gotowi. Muszę się tylko trzymać ostro, bo czuję handel *(głośno)*. Ja myślałem że już daléj zaszło i to właśnie wstrzymywało mnie aż do téj chwili.

Łucka.

Ależ nie, zaręczam panu że nie i możesz pan śmiało... *(wstrzymuje się na znaki Dreckiego).*

August.

Co mogę śmiało?...

Łucka.

Smiało mówić o Klapkiewiczu gdybyś pan miał coś przeciw niemu. Jako przyjaciel nasz...

August *(n. s.)*

Trzymają się. Trzebaby ich wyciągnąć na słowo. *(głośno).* Przeciwko panu Klapkiewiczowi nie mam nic do powiedzenia. Bardzo zacny szlachcic. I jeśli panna Helena ma do niego skłonność; państwo uważacie że to jest partya odpowiednia...

Drecki.

Mój kochany na co się mamy bawić w ciuciubabkę. Jeśli chcesz mówić, mów otwarcie, jeśli nie, to doprawdy niewiem poco ta konferencya przed balem.

August.

Ja ci już miałem zaszczyt wypowiedzieć szczerze i otwarcie moje myśli i sądziłem, że zechcesz być ich tłomaczem w obec pani.

Drecki.

Jeśli to na seryo! Ha! zatem moja siostro, obecny tu mój dawny znajomy i przyjaciel...

August.

O proszę cię bez komplementów; zresztą, ja sam powiem *(staje przed Łucką z ukłonem).* Łaskawa pani! z dawna żywiłem do panny Heleny a córki pani, niekłamaną sympatyę; sądziłem jednak, że warunki mojego wieku i urody nie pozwalają mi sympatyi téj stwierdzić najwy-

mowniejszym dowodem... oświadczeniem. Gdy jednak przekonałem się dzisiaj że panna Helena a raczéj pani i jéj szanowny opiekun, nie jesteście tak bardzo wybredni w wyborze, chcę i ja moją postawić kandydaturę. rozumie się o ile ona potwierdzenie, strony głównie interessowanéj uzyska.

ŁUCKA.

Doprawdy stawia mnie to w niemałym kłopocie... Zdeklarowałeś się pan tak późno... a z Klapkiewiczem...

AUGUST.

Wszak sama pani mówiłaś przed chwilą że z nim...

ŁUCKA.

No tak jeszcze nieskończone... ale...

AUGUST.

Jakież ale?... muszę tu tylko objaśnić że ja pod nazwą głównie interessowanéj, rozumiem samą pannę Helenę, w któréj téż jedynie uznaję prawo stanowienia o swoim losie.

ŁUCKA.

Widzi pan, z panem jako z dawnym przyjacielem chcę mówić otwarcie...

DRECKI.

Pozwól mnie moja siostro, my mężczyzni lepiéj znamy się na tém.

AUGUST *(n. s.)*

Nareszcie przychodziemy do handlu *(głośno)*. Pozwolą państwo że ja uproszczę te formalności; czuję już o co chodzi, o kwestye finansowe.

DRECKI.

Nie! nie czujesz mój przyjacielu... a raczéj czujesz fał-

szywie. Chodzi tu o dokładne zdanie sobie sprawy z pozycyi. Małżeństwo jako instytucya pochodząca z praw Boskich i ludzkich... jako objaw skłonności fizycznych i moralnych...

AUGUST *(n. s.)*

Zarżnie mnie... zdaje mu się że w biórze referat obrabia.

DRECKI.

Z dwóch też istot się składa. Z istoty że tak rzekę duchowéj, moralnéj, estetycznéj, boskiéj, — i cielesnéj, fizycznéj, praktycznéj, ziemskiéj. Duch potrzebuje uniesień miłości, porywów wyższych, myśli i polotu... ciało...

AUGUST.

Potrzebuje chleba i mięsa. Chcesz to powiedzieć ozdobniéj, ale to wyjdzie na jedno. Wiem że mówisz pięknie i jestem gotów cię słuchać, ale kiedy indziéj. Teraz zaś mam zaszczyt państwu oświadczyć jako opiekunom panny Heleny że majątek mój wynosi...

ŁUCKA.

Ależ wiemy, wiemy o tém. Nam chodzi właśnie o to że ze strony Helenki nierówność majątkowa będzie bardzo znaczna!

AUGUST.

Wystarczy nam na dwoje to co mam i gdyby panna Helena nie miała nawet nic...

ŁUCKA.

Otóż właśnie trafiłeś pan w słabą stronę. Dziecko moje nie ma nic; nic oprócz tego, co wzięła po matce, to jest: dobrego wychowania, uczciwych zasad i urody.

AUGUST.

To mnie nie obchodzi. Jakkolwiek dziwi mnie tro-

chę, że pannie Helenie nic nie zostało z sukcessyi po ojcu, jednak to co wzięła jak pani mówi po matce, najzupełniéj mi wystarczy, jeśli ja tylko takim jak jestem, odpowiednim jéj się wydam.

DRECKI.

To szlachetnie i pięknie z twojéj strony mój przyjacielu. Takie postępowanie rozrzewnia mnie... No i o tobie ludzie mówią, że jesteś egoistą.

AUGUST.

Cóż chcesz! nie wszystkich zacne serce jest tak znane jak twoje.

ŁUCKA *(n. s.)*

Szydzi z niego, ale dobrze mu tak *(głośno)*. Niestety nie skończyłam jeszcze panie Auguście. Po mężu moim pozostał wprawdzie majątek, ale okoliczności... ciężkie czasy... Nareszcie w obec zamążpójścia Helenki, moja przyszłość... moje stare lata...

AUGUST.

Rozumiem. Matka mojéj żony nie będzie żyć w nędzy. Bądź pani spokojną; a zresztą ułożemy się o to późniéj.

ŁUCKA.

Jednakże jabym wolała... bo to...

DRECKI.

Przestań moja siostro. Obraziłabyś zacnego człowieka najmniejszem powątpiewaniem w téj mierze; tak jak i ja nie wątpię że nasz przyszły zięć i siostrzeniec... choć mógłbym nazywać cię tylko synem, bo wiesz że Helenkę kochałem i kocham jak własną córkę, nie zechce szykanować mnie w rachunkach z opieki, tak jak ja nie kontrolowałem nigdy twoich wydatków moja siostro.

Łucka.

Ależ...

Drecki.

Tak! między uczciwemi ludźmi, między familją wszystko powinno być oparte na sercu i na dobréj wierze, a każdy spór czy układ, szczerym uściskiem kończyć się powinien... Chodź w moje objęcia droga siostro! Auguście podaj mi rękę. Uważam ten interes za załatwiony.

August.

Pod względem finansowym.

Łucka.

Tak! bo co do Helenki, za nic w świecie nie chciałabym krępować jéj woli... popędów serca.

August.

Tak dalece rozumiem panią że będę prosił, abyś pani pozwoliła mnie samemu pomówić z panną Heleną i przedstawić jéj rzecz całą nie uprzedzając jéj o niczem.

Łucka *(do Dreckiego n. s.)*

Cóż mówisz o tém?

Drecki *(do Łuckiéj n. s.)*

Zrób tak to będzie najpraktyczniéj. Ona go dosyć lubi, sprowadź ją a może się porozumieją *(głośno)*. August dobrze mówi moja siostro, a że rzeczy takie należy robić prędko, przez wzgląd na człowieka z którym mamy do czynienia, zatem idź po Helenkę a ja pójdę przyjmować gości.

Łucka.

Zgoda, przyślę ją tu panu. Sądzę że się porozumiecie... kochane dzieci *(wychodzi na lewo)*.

Drecki.

Daruj że cię zostawię samego. Zresztą będzie wam tak swobodniéj rozmawiać. W każdym razie powiesz mi o rezultacie.

August.

Bądź spokojny i spiesz się bo ci whist ucieknie *(Drecki wychodzi)*.

SCENA 4.

August sam, później Helena.

August.

Mówią że Pan Bóg stworzył ludzi na obraz i podobieństwo swoje! ktoby się tego domyślił patrząc na tę zacną parę. Z takiego gniazda, jak kwiat na bagnisku wyrosło to biedne dziecko, przedmiot frymarki własnéj matki i najbliższego krewnego. I pomyśleć że gdybym ja się tu nie znalazł w porę, świat liczyłby, primo: jednego więcéj głupca żonatego, secundo: jedną więcéj kobietę nieszczęśliwą. Aj czy tylko nie błądzę w rachunku co do drugiego punktu, czyż i tak... Ha! zobaczemy... trzeba będzie raz nareszcie wziąść na ścisły examin to śliczne stworzonko, a jednak tak zagadkowe. Pukajcie mówi apostoł, a będzie wam otworzone. Zapukam do jéj serca a może przy zręczności...

SCENA 5.

August, Helena.

Helena.

Życzyłeś pan sobie zemną pomówić paine Auguście, oto jestem.

AUGUST.

Tak jest, prosiłem mamy pani o wyjednanie mi posłuchania.

HELENA *(siadając).*

Życzenia spełnione. Słucham pana!

AUGUST.

Za poważnie zaczynamy, a to źle panno Heleno. Chciałbym przedewszystkiem widzieć dawny życzliwy uśmiech na ustach pani; chciałbym abyś czuła że mówisz z przyjacielem.

HELENA *(siląc się na uśmiech).*

Czy tak?

AUGUST.

O nie pani! to uśmiech wymuszony, bolesny. Więc pani naprawdę czujesz się tak nieszczęśliwą.

HELENA *(wstając gwałtownie).*

Co panu daje prawo do sądzenia o tem?

AUGUST.

Dziecko! zdradzasz się pani każdem słowem i giestem. Ja się nie zrażę panno Heleno udanem oburzeniem. Zresztą ja chcę i muszę wiedzieć prawdę!

HELENA.

Na co to panu? a wreszcie widzisz pan.

AUGUST.

Nie chcesz pani mówić a zatem ja powiem za panią. Wmówiłaś pani w siebie poświęcenie, które przechodzi twoje siły. Główka romansowa uwierzyła, że należy z siebie zrobić ofiarę dla spokoju innych, a dziś serduszko czuje że ofiara za wielka, a duma cofnąć się nie pozwala. Czy dobrze zgadłem?

HELENA.

Przypuśćmy; ale choćby i tak było, dałam słowo i przeznaczenie moje spełni się.

AUGUST.

Otóż właśnie w czem się pani myli. Słowo pani nie ma znaczenia, jest nieważne...

HELENA.

Jestem przecież pełnioletnią.

AUGUST.

Najprzód od bardzo niedawna, a potem działałaś pani pod przymusem.

HELENA.

Jakim?

AUGUST.

Moralnym. Rodzajem przymusu znanym nawet przez kodex.

HELENA.

Nie! mówiłam z własnéj woli i pod wpływem własnego natchnienia.

AUGUST.

Koniecznie zmusza mnie pani do wypowiedzenia wszystkiego. Niech i tak będzie. Wuj i matka pani wmówili w panią panno Heleno, że dla zapewnienia sobie i matce niezależności, musisz pani iść za mąż bogato, boście majątek cały już straciły. Romansowa główka zawróciła się, powiedziałaś sobie: poświęcę się dla matki, zapewnię jéj szczęśliwą i spokojną starość etc., etc., a zatem pójdę za pierwszego lepszego, choćby to był nawet pan Klapkiewicz.

HELENA.

Panie Nowowiejski!

AUGUST.

Nie gniewajmy się... zaraz skończę. Ofiara spełniona, Klapkiewicz przyjęty. Przychodzi rozmysł: co ja będę robić całe życie z tem bydlęciem!

HELENA.

Proszę pana, skończmy tę rozmowę. Nie upoważniłam pana niczem...

AUGUST.

Ale ja sam siebie upoważniłem droga pani. Oświadczyłem się przed chwilą o pani rękę.

HELENA.

Jakto, pan?

AUGUST.

To panią dziwi, a jednak rzecz łatwa do zrozumienia i zaraz się pani wytłomaczę. Proszę panią jednak o dozwolenie mi swobody, a raczéj szczerości w mowie, tem więcéj że zamierzam mówić poważnie. Matka pani...

HELENA.

Proszę pana, nie mów pan nic złego o méj matce.

AUGUST.

Masz pani racyą... zacznę zatem inaczéj. Byłem przyjacielem ojca pani. Był to zacny człowiek, choć może cokolwiek za słaby dla żony którą ubóstwiał. Kiedy umierał miałaś pani zaledwie pięć lat. Przychodziłem tu często a biedny chory przewidując blizki swój koniec, ~~zrezygnowany, tém więcéj że doznał w życiu najboleśniejszego rozczarowania~~, nie raz mówił do mnie. „Auguście po mojéj śmierci pamiętaj o mojéj sierocie, o Helci. Liczę na ciebie że w danym razie znajdzie w tobie podporę i opiekę, bo po zawodach jakich doznałem nie mogę już liczyć na najbliższych“. Ja przyrzekłem. Młody hulaka i trzpiot

August, pasożyt jak go ludzie nazywają, nie umiał dotrzymać przyrzeczenia. Pozwolił zmarnować majątek dziecka które mu pod opiekę oddano.

Helena.

Panie Auguście prosiłam już...

August.

Wszakże nie wymieniam nikogo, oskarżam tylko siebie. Dziś postąpiłbym inaczéj, dawniéj nie miałem doświadczenia, wierzyłem jeszcze ludziom i ich pięknym słowom. Tak upłynęło lat kilkanaście. Mała Helcia z pięcioletniego dziecka wyrosła na dorodną pannę i dziwna rzecz, wady otoczenia nie oddziałały na nią; ujemne wzory wyrodziły przymioty wprost przeciwne. A ja patrzyłem na to dziecko z miłością na wpół rodzicielską myśląc; jaka szkoda, żem ja stary i brzydki a ona młoda i piękna. I mówiłem sobie, nie długo znajdzie się ktoś równie jak ona młody, rozumny, może bogaty który naprawi błędy mojéj opieszałości, a ja będę się cieszył jéj szczęściem.

Helena.

Zacny panie Auguście!..

August.

Powiedz pani raczéj nierozsądny panie Auguście. Jakby to tacy ludzie na kamieniach się rodzili. Na to trzeba czasu i odpowiedniéj sfery z któréj pani skutkiem postępowania swoich najbliższych wyszłaś zupełnie. Młodzieży o jakiéj mówiłem, w kursalach zagranicznych, w Spa, ani Hamburgu lub na balach publicznych i rautach nie znajdzie; szukają oni życia domowego i rodzinnych zakątków. Pani tego nie miałaś. W rezultacie zaczarowany książe moich marzeń dla pani nie przybywał; majątek stopniał prędzéj, a pani pod naciskiem...

Helena.

Mówiłam już panu, że działam z zupełną swobodą.

August.

Dziecko! czy sądzisz że ja w to uwierzę. Pani byłabyś zdolną własnowolnie oddać się a raczéj sprzedać téj feralnéj maszkarze! Rozumiem panią, oceniam to poświęcenie, uwielbiam je prawie, ale pozwolić na nie, nie mogę. Przychodzić tutaj z perswazyami do matki pani i wuja byłoby nonsensem. Wiedziałem że czekałaby mnie zwykła w takich razach odprawa, „mój panie co ci do tego“... Przyjść do pani, powiedziałabyś mi jak w téj chwili, „działam swobodnie i wiem co robię“. Pozostał środek heroiczny. Wiedziałem że ci państwo uważali mnie ze świetną partyą pod względem finansowym... Drecki wspominał mi nawet coś o tém; nie przeczułem tylko o co chodzi i że na planie jest ktoś drugi. Niestety spóźniłem się; przybyłem na koniec pierwszego aktu, ale jednak jeszcze w porę na rozwiązanie. Dziś czuję mój obowiązek, spełniam moje przyrzeczenie, a jeśli pani gwałtem się chcesz zgubić, ocalę cię choćby mimo twéj woli. Oświadczyłem się o pani rękę, przyjęto mie i reszta od ciebie zależy.

Helena.

I pan przypuszczasz panie Auguście że gdyby było nawet tak jak mówisz, ja znowu zgodzę się na takie poświęcenie ze strony pana. Chcąc mnie wyciągnąć z przepaści sam w nią pragniesz wskoczyć. Żeby nie została żoną innego, ja się poświęcę i ożenię się z nią powiadasz pan, ale zapomniałeś, że ja znów na to zezwolić nie mogę. Wisi nademną konieczność nieubłagana, bo nędza, któréj sama nie lękałabym się, ale od któréj bądź co bądź, ocalić muszę moją matkę, a zresztą robię to co się codziennie przydaża na świecie; idę za mąż za człowieka który mnie kocha, robię to co nazywają partyą. Ale pańską ofiarę jakiemże pra-

wem przyjąćbym miała i pan sam cobyś wtedy o mnie pomyślał.

AUGUST.

Nie kończ pani, bo ja nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Czy na serjo przypuszczasz pani że we mnie serce już nie bije, że jestem tylko pasożytem... że kochać nie umiem i nie mogę, że gdybyś ty... Ale prawda to szaleństwo... na które jednak wyciągnęłaś mnie pani... Dość powiedzieć że kobieta taka jak ty, uszczęśliwia człowieka takiego jak ja, jeśli przyjmuje jego rękę i pani o tem wiesz dobrze. Jednak nie takie były moje zamiary. Chwyciłem się środka heroicznego, bo nie miałem wyboru; nie mniéj przeto moje postanowienie pani nie krępuje. Wszak serce pani do dziś dnia wolne?

HELENA.

Pan wiesz o tém najlepiéj.

AUGUST.

A więc panno Heleno, gdy przyjmiesz moją propozycyą zyskamy na czasie, rok, może dłużéj, kto wie co przez ten czas zajdzie. Może się zjawi ów zaczarowany książę, a wtedy pewno pozornych praw moich bronić nie będę, jeśli nie... nie łudzę się nadzieją... ale jednak kto wie... może. Przez ten rok będę miał prawo opiekować się panią jako moją narzeczoną. Poznasz mnie pani lepiéj... ocenisz a po roku, postanowisz jak zechcesz. Czyż mam pani mówić że jakikolwiek będzie twój wyrok, byle był szczery, ja zawsze będę szczęśliwy. A teraz decyduj pani! czas jest krótki; goście za chwilę się zejdą, a jeśli pani nic nie postanowisz, ja się zrezykuję choćby na strzelanie się z Klapkiewiczem o panią.

HELENA.

Dla Boga co za myśl! panie Auguście, doprawdy... ja nie wiem sama...

AUGUST.

A zatem mnie usłuchaj pani, uwierz.: że cię...

HELENA.

Że mnie pan może kochasz trochę w to wierzę... ale...

AUGUST *(z czułością)*

Nie ma ale! daj się pani mnie pokierować a przysięgam że źle na tém nie wyjdziesz. No cóż wszak zgoda?

HELENA.

Mówisz pan tak przekonywająco...

AUGUST *(z czułością: biorąc jéj ręce).*

Że zgoda... O droga pani! Teraz idę do matki pani, powiedzieć jéj, że sprawa wygrana. No panie Klapkiewiczu, ciekawą rozegramy partyą *(wychodzi).*

SCENA 6.

HELENA sama, później KLAPKIEWICZ, ANTONI.

HELENA *(sama).*

Co się ze mną dzieje! czy to sen okropny... trapiące mary. O mój Boże! jakżem ja nizko spadła *(przykłada chustkę do oczu płacze: po pauzie).* Co myśleć o ludziach i świecie... zdaje mi się że ten człowiek mnie kocha... że mówił prawdę... a ja.. ja dotąd nie kocham nikogo. Daj Boże abym go pokochać mogła!

KLAPKIEWICZ *(wchodzi z prawéj trzymając pod rękę Antoniego).*

Ale nie puszczę pana, kochany panie. Panna Helena kazała żebym pana dostawił, zabralem cię gwałtem i mu-

szę dostawić. A otóż i moja ślicznotka. Sprowadziłem pani pana Uszyńskiego, naszego znakomitego artystę. Kosztowało mnie to trudu nie mało, ale jest; bo słowo mojéj ślicznotki jest dla mnie rozkazem. A teraz zostawiam państwa, choć domyślam się o co chodzi *(n. s. do Uszyńskiego).* Pieszczotka chce się dla mnie kazać malować... aniołek.

HELENA.

Ależ panie...

KLAPKIEWICZ.

Wiem, wiem, nie będę przeszkadzał... odchodzę. *(do Uszyńskiego)* A możeby vis a vis do mazura, co? zgoda... Pójdę zamówić damę *(n. s. wychodząc).* Nie powie że jestem dla niego niegrzecznym *(wychodzi).*

SCENA 7.

HELENA, ANTONI.

ANTONI *(n. s.)*

Doprawdy w dziwnem jestem położeniu.

HELENA *(n. s.)*

Nie wiem co mówić z tym panem. Wreszcie wszak to on powinienby...

ANTONI.

Pani...

HELENA.

Panie...

ANTONI.

Racz pani darować, ale widzę że tylko szczere wyznanie prawdy może mnie wyratować z komicznéj sytua-

cyi. Jestem malarzem i miałem przyjemność malować portret pana Klapkiewicza. Ten pan uznał za stosowne zaprosić mnie na dzisiejszy wieczór, który miał być jakimś uroczystym obchodem. Pan August Nowowiejski zdaje się dobry znajomy pań..

HELENA.

Nasz przyjaciel.

ANTONI.

A tem lepiéj, przynajmniéj na niego będę się mógł powołać, miał mnie tu wprowadzić i przedstawić. Tymczasem przed godziną przyjechał po mnie pan Klapkiewicz i gwałtem mnie prawie ze sobą zabrał, twierdząc że pani chce się ze mną rozmówić o jakimś portrecie, a on jako narzeczony...

HELENA.

Ten wstęp zbyteczny. My z mamą wiedziałyśmy już o tém że pan będziesz łaskaw na nas z panem Augustem. Co zaś do portretu, to pewno jakieś nieporozumienie pana Klapkiewicza, które łatwo da się wyjaśnić.

ANTONI.

W każdym razie pragnąłbym aby się wyjaśniło na korzyść portretu, a tém samem na moją. Narzeczony pani zrobił mi nadzieję...

HELENA.

Który narzeczony panie?

ANTONI.

Jakto który? daruje pani, ale nie rozumiem.

HELENA.

Jestem cokolwiek excentryczną że panu robię to pytanie. Zresztą panowie jako artyści powinniście być przyzwyczajeni do excentryczności.

ANTONI.

To jeszcze pytanie, na czem ona polega?

HELENA.

Na wyborze męża!

ANTONI.

O pani! w takim razie excentryczność jest błędem nie do darowania.

HELENA.

A! widzę że się pan na te rzeczy zapatruje poważnie.

ANTONI.

Jak można najpoważniéj.

HELENA.

W takim razie i ja spytam pana poważnie. Co pan myślisz o swoim przyjacielu panu Nowowiejskim; wszak jesteś pan jego przyjacielem?

ANTONI.

Całą duszą. Myślę że to człowiek zacny, którego kocham i szanuję.

HELENA.

Są to te same uczucia które i ja mam dla niego i z tego powodu właśnie, przed chwilą przyjęłam ofiarę jego ręki.

ANTONI.

Jakto August?

HELENA.

To pana dziwi.

ANTONI.

Przyznaję się pani że... Ależ tamten... Klapkiewicz.

HELENA.

Powiedz pan na mojem będąc miejscu, jakbyś postąpił w tym wypadku. Widzisz pan jestem szczerą. Wiem że mówię do przyjaciela pana Augusta... Zresztą znalazłeś się pan tu w takiéj chwili, w któréj potrzebuję podpory, rady; kogokolwiek, byle człowieka z sercem i rozumem. Pan masz jedno i drugie, wiem od pana Augusta! powiedz pan jak potrzeba postąpić na mojem miejscu?

ANTONI.

Przedewszystkiem nie trzeba było dopuścić tego co się stało. Ale dziś...

HELENA.

Cóż dziś? czy sądzisz pan, że cofać się już niepodobna?

ANTONI.

Przeciwnie pani. Zawsze czas cofnąć się, a jeśli August otoczy panią swoją opieką, dobrze pani robisz przyjmując jego ramię za podporę.

HELENA.

Więc mi pan to radzisz, jako człowiek uczciwy.

ANTONI.

Radzę i radzę z głębi duszy.

HELENA.

Przyjmuję pańską radę i dziękuję za nią. Doprawdy jest to prawie szaleństwo mówić do kogoś w ten sposób, do kogoś widzianego po raz pierwszy. Ale jesteś pan artystą, człowiekiem serca, wybaczysz mi pan i zapomnisz o tém.

ANTONI.

Bądź pani spokojną. Wybaczyć nie mam czego a zapomnieć o tem... zapomnę, jeśli pani tak każesz.

HELENA.

Dziękuję panu; a teraz wypada przedstawić pana...

SCENA 8.

CIŻ I ŁUCKA, AUGUST, DRECKI.

DRECKI *(idzie do Heleny).*

Kochana Helenko postąpiłaś jak Spartanka i oboje z twoją matką przychodziemy...

ŁUCKA.

Tak jest moja córko, przychodzimy najprzód uściskać cię, a potem... *(Drecki i Łucka ściskają Helenę i rozmawiają z nią).*

AUGUST *(spostrzegłszy Antoniego).*

Jesteś tu Van Dyku! właśnie wybierałem się po ciebie, a ty jak widzę...

ANTONI.

Rozumiem żeś pan o mnie zapomniał, przy tak ważnem zajęciu...

AUGUST.

Jakto, wiesz żem się oświadczył? Brawo Van Dyku! już grasz rolę powiernika.

ANTONI.

O chciéj pan wierzyć...

AUGUST.

Ależ wierzę... Wierzę z góry we wszystko co powiesz mój chłopcze. No, ale przedewszystkiem muszę cię przedstawić pani domu *(bierze Antoniego za rękę i prowadzi do Łuckiej, współcześnie Klapkiewicz otwiera zasłonę balową gdzie widać tańczące pary. Muzyka gra mazura).*

SCENA 9.

HELENA, ŁUCKA, DRECKI, ANTONI, AUGUST, KLAPKIEWICZ.

KLAPKIEWICZ *(wbiegając w głębi).*

Mazur! państwo mazur! Moje vis a vis! Tańczymy mazura panie Uszyński. Daléj podawaj pan rękę pannie Helenie! a i mama tu się chowa i wujaszek...

AUGUST,

I ja panie!

KLAPKIEWICZ.

A i pan; przepraszam nie spostrzegłem. Ale nie o to chodzi... tańczemy mazura.

AUGUST.

Przepraszam pana, ale przedewszystkiem musiemy załatwić tutaj małą kwestyę sporną.

KLAPKIEWICZ.

Ależ panie... tam mazur! wszystkie pary zaczynają.

AUGUST.

A my tu kończemy... No Teodorze mówże.

DRECKI *(do Łuckiéj i Augusta).*

Aj! zdaje się że za prędko. To będzie ciężko.

AUGUST *(do Dreckiego i Łuckiéj).*

Wszakże państwo wzięliście to na siebie, a zatem...

ŁUCKA *(j. w.)*

Tak, nie można zwlekać... mów Teodorze.

DRECKI.

Panie Klapkiewicz... ja w istocie... *(n. s.)* nie, nie wybrnę. *(do Łuckiéj)* Ty powiedz moja siostro.

KLAPKIEWICZ.

Co takiego? o cóż chodzi...

ŁUCKA.

E! co tam najlepiéj raz skończyć... krótko i węzłowato. Moja córko podaj rękę twojemu narzeczonemu. *(Klapkiewicz wyciąga rękę do Heleny, August zachodzi z drugiéj strony i podaje jéj rękę).*

KLAPKIEWICZ.

Co to jest? co to znaczy?

ŁUCKA.

To znaczy, że narzeczonym mojéj córki jest pan August Nowowiejski.

KLAPKIEWICZ.

Co! jak?.. Ha trzynasty Październik... feralny dzień! feralny dzień! *(pada na fotel, wszyscy go otaczają, zasłona spada).*

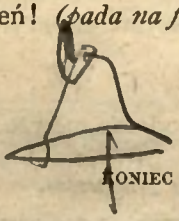

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

(Dekoracya taż sma co w Akcie III, obrazie I-ym, tylko obrazy porozwieszane porządniéj i cały pokój urządzony staranniéj. Na stoliku z lewéj strony bukiet z fijołków w małym wazoniku. Na sztalugach zasłonięty płótnem portret).

SCENA 1.

MUSZKAT wchodzi i rozgląda się w około.

MUSZKAT *(po małéj pauzie).*

Fiu! fiu! *(spostrzega kwiaty wącha i ogląda wazonik).* Ho! ho! *(ogląda obrazy na ścianie).* Tu coś jest. Pokój porządnie zamieciony, obrazy porozwieszane starannie... i te kwiaty!.. fijołki w Marcu! Proszę, co najmniéj jakaś księżniczka. Złapał się robaczek w jakieś sidła. Czyżby Róża? Eh nie, ją przyjmował na śmieciach. Dla kogóż u licha tak się rujnuje? *(idzie do stolika i otwiera szufladę).* A zbrodniarz! nawet o tytoniu dla mnie zapomniał... To historya nie na żart. Zobaczmy co on tam bazgrze. *(idzie do sztalug i zdejmuje płótno)* Aha! jest i corpus delicti,

znalazła się królowa. Bo że to ona, tobym przysiągł. Jegomość ma wcale nie zły gust... królewski kąsek... Fiu, fiu, jakie oczy, proszę siadać. A buzia! daj go katu, amator... kłaniam pani dobrodziejce. To to pani zawróciła taką mocną głowę, a sama jakoś sztywno się trzyma. Wargi cieniutkie... musi być dumna... będzie ciężka sprawa. Zobaczmy nozdrza... zwarte... nie! mogłyby się rozszerzyć. A więc namiętność i ogień być może. To już lepiéj. Co to może być? panna, wdowa, mężatka; nie znam tego. Nie widziałem jeszcze téj buziuchny; bo słowo daję ładna buziuchna, ja się znam na tém. Pamiętam przed dwudziestu laty i ja modelowałem coś podobnego. I u mnie w pracowni było i czysto i wymieciono, bodaj czym nawet kwiatów nie kupił. Cóż ztąd! papa się wdał w tę sprawę, drzwi mi pokazał, bodaj nawet czy nie z zamocnym naciskiem, a model jest dziś podżyłą mamą, żoną jakiegoś filistra i ma córkę z zadartym nosem, zupełnie do niéj nie podobną. Dziwna rzecz jak to się wyradza to młodsze pokolenie! Choć Antoni tęgi chłopak, ale filister. I z nim się tak skończy. Papa mu drzwi pokaże... a może mąż. No gdyby mąż toby było lepiéj.. z mężatkami teraz łatwiejsza sprawa. Co tam! marność, wszystko marność! oprócz fajki. Zapalmy własny tytoń, kiedy o mnie zapomniał.

SCENA 2.

MUSZKAT, ANTONI.

MUSZKAT.

A jest nareszcie i czuły Endymion.

ANTONI.

To ty! jak się masz?

MUSZKAT.

Ja jak zwykle; jak groch przy drodze. Ale ty kochanku, mam już wiadomość o twoich sprawkach.

ANTONI *(zaniepokojony).*

O jakich sprawkach, jeśli wiedzieć wolno?

MUSZKAT.

Nie o najlepszych. Bałamucisz się.

ANTONI.

A, słyszałeś coś o Róży?

MUSZKAT.

Mój kochany, starego wróbla na plewy nie złapiesz. Widziałem pokój czysto zamieciony, fijołki... *(pokazując na portret)* i ot, to.

ANTONI *(zakrywając prędko portret).*

Oszalałeś!

MUSZKAT.

Nie tak bardzo jakby się zdawało. A zresztą dlaczegożeś tak prędko płótno spnścił? Daj pokój na co ta komedya. Przecież mnie znasz, wiesz że pary z ust nie puszczę, a przed przyjacielem zapierać się...

ANTONI.

Ależ zapewniam cię...

MUSZKAT.

Nie chcesz mówić, mniejsza o to. Za to ja stary u schyłku zawodu powiem ci jedną prawdę. Dla nas te rzeczy są niepotrzebne. Kochaj się w modelkach, w szwaczkach w dystrybutorkach, będziesz zdrów i pięknie będziesz wyglądał, tak jak nie chwalący się, ja naprzykład. Jużcić tam raz w życiu awanturę przejść trzeba; ale to

jest ospa! w tém sztuka żeby śladów nie było. Ale się bratku lecz, bo i obrazy i artystę djabli wezmą. A szkoda by cię było, mówię szczerze.

ANTONI.

Dziękuję ci. Ale teraz mój drogi daruj mi... za chwilę przyjdzie tu model.

MUSZKAT.

Ta pani, a to tem lepiéj. Będę zabawiał męża, czy matkę lub papę. Ja to umiem.

ANTONI.

Jesteś w błędzie mój drogi!

MUSZKAT.

A zatem żeby cię o tem przekonać zostaję.

AONTNI *(n. s.)*

A to nasłanie! Zacznę malować może odejdzie *(poprawia sztalugi, bierze pędzel i paletrę i zaczyna malować. Przez ten czas Muszkat kładzie się na sofie w głębi)*. Nie... zawziął się.

MUSZKAT *(n. s.)*

Chcesz mnie wypędzić kochanku; to ci się nie uda.

ANTONI.

Nie nudzisz się?

MUSZKAT.

Nie, palę fajkę.

ANTONI.

A jak skończysz?

MUSZKAT.

Nałożę sobie drugą.

ANTONI *(n. s.)*

Niech cię pieklo pochłonie!

MUSZKAT *(n. s.)*

Czuję że mnie musi błogosławić. To nic, dotrzymam placu.

SCENA 8.

CIŻ HELENA, AUGUST, ŁUCKA za sceną.

AUGUST *(mówi za sceną)*.

Niech pani będzie spokojna, pannie Helenie nic złego się nie stanie. Niech pani załatwia sprawunki z czystem sumieniem i wraca tutaj po nas.

ŁUCKA *(za sceną)*.

Zostawiam ją pod pańską opieką, najdaléj za pół godziny przyjadę. Do widzenia.

AUGUST *(j. w.)*

Do widzenia z panią *(wchodzi na scenę prowadząc Helenę pod rękę)*. No panie Antoni nie spóźniliśmy się za bardzo.

ANTONI.

Zaledwie parę minut po godzinie. Punktualność godna uznania.

AUGUST.

Nieprawdaż?

MUSZKAT *(n. s.)*

To oni! ale czy to mąż, czy ojciec?

AUGUST.

A dokazałem sztuki. Pani Łucka wybrała się do magazynów na obejrzenie nowych mód, byłbyś stracił posiedzenie. Na szczęście wdałem się w to i na moją osobistą odpowiedzialność dozwolono pannie Helenie przyjść pod moją opieką. Mama została w ariergardzie.

MUSZKAT *(n. s.)*

Nie mąż i nie ojciec! cóż to jest?

ANTONI.

Rozumiem że panu pilno mieć portret pani. Skończę dziś lub jutro najdaléj.

HELENA.

Czy tylko na pewno dziś?

ANTONI.

Będę się starał. Wiem jak panią trudzi pozowanie

HELENA *(z przyciskiem).*

Rzeczywiście bardzo. *(siada na fotelu z prawéj zdiąwszy kapelusz do pozowania).*

ANTONI.

Ha! *(przez chwilę opanowywa wzruszenie, przysuwa sztalugi i zaczyna malować).*

AUGUST.

Ale! gdzieżeś zapodział moje wieczory sewilskie?

ANTONI.

Wiszą w drugim pokoju.

AUGUST.

Pójdę je zobaczyć. Zachwyca mnie szczególniéj ta blondynka na tarasie. Podobna do pani panno Heleno. Czy pani tego nie uważała?

HELENA.

Nie zdawało mi się.

AUGUST.

Dziwna rzecz! Mnie to od razu w oczy uderzyło. *(obraca się postępuje parę kroków w głąb sceny i spostrzega Muszkata)* a! pan Muszkat!

MUSZKAT.

Pan dobrodziéj mnie zna?

AUGUST.

Pana! któżby nie znał! rzeźbiarz znakomity! chluba kraju! filar sztuki, ornament artystów miejscowych.

MUSZKAT.

Za wiele honoru! i nie wiem, komu mam zaszczyt dziękować za to?

AUGUST.

August Nowowiejski, jeden z pańskich najgorętszych wielbicieli.

MUSZKAT.

A panie!

AUGUST.

Jakież to ostatnie dzieło pańskie podziwialiśmy na wystawie?

MUSZKAT.

Nie wiem, bom ja nigdy nic nie wystawiał.

AUGUST.

A więc nie... to w jakimś prywatnym salonie, czy w pracowni pańskiéj.

MUSZKAT.

Od dwudziestu lat nic nie sprzedałem, a pracowni nie mam wcale.

AUGUST.

Ależ przecie pracujesz pan nad czemś?

MUSZKAT.

Nie panie. Moje prace są tu *(pokazuje na głowę)*. Wiek dzisiejszy nie ocenia wielkiéj sztuki. Nie warto stwa-

rzać arcydzieł dla profanów, rzucać pereł dla trzody chlewnéj.

AUGUST.

To słuszne i sprawiedliwe. Ale ja skorzystam ze szczęśliwéj sposobnośśi, którą mi nastręczyło spotkanie tak znakomitego artysty, aby zasięgnąć objaśnień i rozszerzyć ciasny okrąg moich wiadomości estetycznych. Nie puszczę pana i zabieram gwałtem do drugiego pokoju, abyś mi pan wytłómaczył effekta światłocienia, których Antoni tak szczęśliwie używa, w swoich wieczorach sewilskich.

MUSZKAT.

Ależ panie ja...

AUGUST.

Chodź pan, chodź. Do malowania potrzeba spokojności. Więc zamiast tu przeszkadzać, niech i ja coś od pana skorzystam. *(bierze Muszkata pod rękę i prowadzi na lewo).*

MUSZKAT *(n. s.)*

Ha! kiedyś taki ślepy kret, wpadaj w jamę dudku.

SCENA 4.

ANTONI, HELENA.

ANTONI *(n. s.)*

Sami jesteśmy... Ha nareszcie!

HELENA *(n. s.)*

Zostawił nas... Boże dodaj mi siły.

ANTONI.

Pozowanie nuży panią i zapewnie jesteś pani zadowoloną, że to już po raz ostatni.

Helena.

Rzeczywiście, że te posiedzenia trwające już tak długo, nużą mnie. Zresztą wszak i pana cieszy zapewne ukończenie pracy i możność zabrania się do drugiéj.

Antoni.

Nie pani. Ja od dwóch miesięcy pracować nie mogę i nie chcę.

Helena.

Prawdopodobnie chwila przejściowa dla artysty; jakiś przełom w jego talencie... to przeminie.

Antoni.

Nie pani. Takie rzeczy nie mijają, chyba z życiem.

Helena.

Nie rozumiem pana o czem chcesz mówić i nie pragnę badać pańskich tajemnic. Ja myślałam o sztuce, która też jest najwłaściwszym przedmiotem rozmowy w pracowni artysty.

Antoni.

Tak, prawda pani mnie nie rozumiesz. Co dla pani znaczy, że pierś szaleńca płonie, że w głowie jego zamęt, a w sercu ból straszny i złowrogi. Co znaczy że w pochodzie swoim napotkałaś pani jednego więcéj człowieka, biednego artystę, a zatem nic dla ciebie, którego pociągnął twój urok i magnetyczna siła twoich oczu. Wóz tryumfatorki popędzi daléj, choćby po trupie biedaka, choćby po mogile jego talentu... to nie wywoła nawet zmarszczki na jéj pogodnéj twarzy. Dumna i wspaniała tylko „biada zwyciężonym“ wołać umie.

Helena.

Panie Uszyński, nie rozumiem nic z pańskiéj wy-

tworn̨ej metafory. Przyszłam tu pozować i czekam aż pan raczysz skończyć swą pracę.

Antoni.

Kończyć portret pani! To mój obowiązek... płacą mi za to. Dostaniesz pieniądze więc pracuj rzemieślniku.

Helena.

Nie chciałam pana obrazić...

Antoni.

Chciałaś mnie pani tylko zwrócić na właściwe miejsce, aleś się pani pomyliła. Sprzedaję moje portrety ale nie uczucia. Wszystko com miał w sercu, wszystko com czuł i marzył przez dwa miesiące, najszlachetniejszą część méj istoty, przelałem dziś na to płótno. Całe skarby świata nie opłaciłyby tego co jest na niem; to téż ten portret zostanie przy mnie, albo go zniszczę tak jakem go stworzył.

Helena.

Tak to piękne i szlachetne, godne w istocie artysty i człowieka. Pański przyjaciel, dobroczyńca, drugi ojciec jak go sam nazywałeś, kocha kobietę, swoją narzeczoną; prosi cię o jéj portret, w ślepem zaufaniu w pański charakter i sumienie, przyprowadza ją do twéj pracowni, a pan aby jemu dać dowód wdzięczności i przyjaźni a jéj przykład stałości zasad i sumienia, znieważasz ją u siebie. To szczytne i wielkie, prawdziwie godne talentu i artysty.

Antoni.

Sarkazm okropny, ironja gnąca do ziemi. Zasłużyłem na to i nie skarżę się. Ale pani... pani która od dwóch miesięcy widzisz co się ze mną dzieje... która przed tygodniem jeszcze pozwoliłaś mi mówić... mówić wszystko com czuł i myślał, czy nic sobie nie masz do wyrzucenia? Tak, ja jestem zdrajcą przyjaźni tego człowieka, mego dobroczyń-

cy; tak, ja jestem nikczemny żem sobie pozwolił wznieść oczy aż na panią, żem nie umiał wydrzeć z piersi téj miłości choćby z sercem razem, albo zmusić się do milczenia choćby zmilknąć na zawsze; ale pani, pani nic nie jesteś winna! Niech ja wiję się z bólu, niech konam w męczarni, to tylko zasłużona kara. Panią to nie obchodzi, pani zrobisz swoje... będziesz piękną i bogatą.

Helena.

Panie Antoni, nie mów pan tego... miéj litość nademną. Ja nie umiem grać komedyi pan wiesz o tem najlepiéj. Przypomnij pan sobie pierwszą chwilę naszego poznania. Wybiegłam do pana ze zwierzeniem szalonem, pociągnięta dziwną sympatyą, niby przeczuciem wiedziona, że panu zaufać mogę, że mi poradzisz dobrze i życzliwie. Dałeś mi pan radę, poszłam za nią. Może i mnie uśmiechały się chwile spędzone w twéj pracowni, może i mnie ciągnęła tu jakaś siła nieprzeparta. Ale przyszła rozwaga, odezwało się sumienie. Panie Antoni, on mnie ocalił więcéj jak od śmierci, bo od upadku na całe życie! bo jego czcić i szanować mogę. Czy miałabym prawo dzisiaj odepchnąć tego człowieka, gdy całe swoje szczęście widzi we mnie? odpowiedz pan.

Antoni.

A pani odpowiedz mi, czy masz prawo poświęcać szczęście dwojga ludzi, dla chwilowéj fantazyi zacnego dziwaka. Wszak on znał panią oddawna i nie pożądał ciebie. Mógł wyciągnąć rękę tylko, aby pochwycić twoją, czyliż to zrobił. Dopiero aby cię odebrać innemu, z pozorem poświęcenia zażądał tego szczęścia, którego ja krwią moją całą opłacić nie byłbym wstanie. Gdybyś go pani kochała... może poświęciłbym siebie, ale kiedy wiem...

Helena.

Nie panie Antoni. Nie odbieraj mi moich złudzeń.

Zostań w mojem przekonaniu, wielkim i szlachetnym. Nie obarczaj wyrzutami jego... któremuśmy oboje tak wiele winni, wyrzekaj na mnie raczéj. Skończ pan ten nieszczęśliwy portret a potem... potem nie będziemy widzieć się więcéj. Wyjedź pan za granicę; dla artysty wszędzie droga otwarta, dobijesz się tam sławy, powodzenia i zapomnisz o mnie. Po kilku latach gdy wrócisz uleczony, znajdziesz tu przyjaciół, znajdziesz siostrę, która za twoje powodzenie i szczęście, modlić się przez ten czas będzie.

ANTONI.

Nie to nie podobna... je na to pozwolić nie mogę. August ma także serce, jest człowiekiem szlachetnym, jemu powiem wszystko.

HELENA.

Dobrze! Zgoda, powiedz mu pan, rozedrzyj jego serce, okryj mnie niesławą. Ale wiedz że za skarby świata, ja znowu twoją nie będę i że zamiast przyjaźni którą ci przed chwilą dawałam, znajdziesz we mnie wstręt i pogardę.

ANTONI.

Litości panno Heleno!

HELENA.

Nie. Mogłam kochać człowieka z sercem i siłą moralną: człowiekiem zdolnym do podłości, pogardzam.

ANTONI.

Zwyciężasz pani. Portret skończę sam; potrzebuje on tylko wykończenia, co i bez pani zrobić mogę... Matka pani jest blizko... idź do niéj i zostaw mnie. Będę umiał odegrać moją rolę do końca... a jutro lub pojutrze pożegnam kraj i to miasto na długie lata.

HELENA.

Teraz znowu poznaję pana. To piękne i szlachetne.

Żegnam cię panie, niech Bóg czuwa nad tobą... i nademną.

SCENA 5.

CIŻ I ŁUCKA.

HELENA.

A to ty moja matko. Nadeszłaś w samą porę.

ŁUCKA.

Dla czego? gdzie August? co tobie? takaś zmieniona, blada, zapłakana.

HELENA.

To nic... Pan August wyszedł. Jest tam w drugim pokoju, a mnie tutaj zrobiło się nie dobrze... zasłabłam. Pan Uszyński ratował mnie; ale duszno mi... potrzebuję powietrza. Chodźmy matko... prędzéj... prędzéj.

ŁUCKA.

Dziecię drogie! pójdź aniołku. Patrzaj pan, okrycie przed nosem zabrała mi hrabina i ona tu zasłabła... a to feralny dzień, jak mówił Klapkiewicz.

HELENA.

Żegnam pana... pójdźmy matko *(wychodzą)*.

SCENA 6.

ANTONI sam, późniéj AUGUST.

ANTONI.

Żegnam... a ty galerniku idź daléj w świat, przykuty do taczki i pracuj... zabijaj się, żeby dać ludziom wszystko co możesz najlepszego, najpiękniejszego, a gdy raz w ży-

ciu, szczęścia trochę, zapłaty za serce zażądasz, powiedzą ci, żegnam pana.

August.

Mój towarzysz szczęśliwie czmychnął drugiemi drzwiami, zdaje mi się, że nie prędko zechce drugi raz spotkać się ze mną. Ale co to... tyś sam... Gdzież panna Helena.

Antoni.

Wyszła z matką... ale portret prawie już skończony. Była... zrobiło się jéj duszno... bo téż tu doprawdy duszno w tym pokoju. Muszę zmienić pracownię... albo wyjechać... A teraz daruj pan... zostawię cię na chwilkę samego... potrzebuję orzeźwić się... ten zaduch od farb... rozumiesz pan... wychodzę! *(wybiega).*

SCENA 4.

August sam, później Uszyński.

August.

Aha rozumiem. Nawet dobrze rozumiem *(chodzi po pokoju długa pauza).* No a teraz co... Jak rozegrać tę partją? Wszystko to się złożyło jakem chciał... może nawet lepiéj, a raczéj więcéj jak chciałem. Powiedziałem sobie zróbmy próbę... On młody, piękny i artysta! próba skończona i trzeba odegrać akt piąty *(uderzając się w piersi).* No a ty serce co mówisz na to. Bijesz silnie... nie chce ci się oddawać innemu twoich skarbów... buntujesz się stary egoisto. Rzeczywiście, gdybym chciał, mogę nie wiedzieć o niczem. Ona nie powie, a on wyjedzie czuję to, i czuję że téj kobiecie mógłbym zaufać; że serce by jéj pękło ale by nie upadła. Są jeszcze natury szlachetne. Są ludzie w których obraz Boga uczcić można, niech co chcą dowodzą puste nowatorów mózgownice. A ja! czyż także nie jestem człowiekiem, czyż nie mam prawa do szczęścia!

zawsze i wiecznie sam mam iść w drodze życia... dla tego że mnie natura stworzyła brzydkim. Ona może zapomnieć... takbym ją kochał, byłbym dla niéj tak dobrym, dogadzałbym najmniejszym jéj zachceniom... otaczałbym ją zbytkiem, przepychem. Ha! ha! ha! doprawdy wyborne. Czyż tak samo nie rezonuje każdy starzec zakochany... a ja mam za sobą lata i urodę. A więc... a więc stało się... umrę starym kawalerem. *(Uszyński pokazuje się we drzwiach [illegible] trze opatulony).* A to co? sprzymierzeniec... socius in bello... Zkądże się kochany pan bierze?

Uszyński.

Ave o domine! cieszę się że pana widzę. Zatęskniłem za synem. Mamy wakacye na święta i przyjechałem.

August.

Jak nie można bardziéj w porę. Siadaj kochany panie i pogadamy.

Uszyński.

Zaraz... statim! ex nunc... Niech że się rozbiorę.

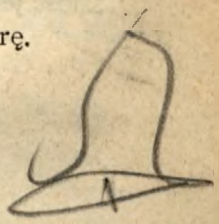

August.

Dopomogę panu... Ot tak!

Uszyński.

A gdzież Antoni?

August.

Wybiegł na miasto, prawdopodobnie w zamiarach samobójczych.

Uszyński.

Co?

August.

Bądź pan spokojny... nie znajdzie pistoletów. Nie zabijamy się teraz tak łatwo; wolemy już grzebać naszych przyjaciół.

USZYŃSKI.

Ale jakto, co przecie się stało? pojedynek?

AUGUST.

Czy to interessuje pana?

USZYŃSKI.

Pytasz się pan. Stoję tu jak moriturus, miserabilis et et tremens.

AUGUST.

Zatem proszę siadaj pan, bo muszę rzecz zacząć ab ovo.

USZYŃSKI.

Siadam i słucham. Conticuere omnes intentique ora tenebant.

AUGUST.

Co znaczy: baczność! uszy w górę, boi dzie o całą przyszłość jedynaka. Zaczynam...

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

AKT V.

(U Łuckiéj. Dekoracya taż sama co w Akcie II-gim).

SCENA 1.

ANTOSIA sama, *(siedzi na kanapie z lewéj w ręku trzyma sennik).*

ANTOSIA *(czyta).*

„Jeżeli chcesz wiedzieć między 12 znamion niebieskich w któremeś się urodził, a który był sprawcą przyrodzenia twego, masz tak postąpić. Napisać imię matki.“ *(czyta daléj pocichu. Słychać dzwonek kilkakrotnie w przedpokoju).* Aha! dzwoń, dzwoń... myślisz że ci otworzę... Matki imię 9, a moje 8, razem 17. Oczywiście rodziłam się albo pod Rakiem, albo pod Bliźniętami... *(słychać znowu dzwonek).* Niecierpliwi się, tem lepiéj; pójdzie sobie z Bogiem. Zobaczmy co mi będzie korzystniéj... a może Byk, albo panna *(przerzuca książkę i czyta; wchodzi Łucka).*

SCENA 2.

ŁUCKA, ANTOSIA później DRECKI.

ŁUCKA.

Co ty tu robisz Antosiu? miałaś iść do Wilczyńskiéj.

ANTOSIA *(wtłając)*.

Daruje pani, ale ja tak byłam zajęta. Szukałam sobie planety.

ŁUCKA.

Cóż to za planety w dzień?

ANTOSIA.

A to proszę pani taka co przyszłość wróży... o! oto jest.

ŁUCKA.

Pokaźno... ha! ha! komiczne. „Sennik z praktyką Pitagoresa wielkiego filozofa.“

ANTOSIA.

O! to proszę pani wcale żartów nie ma, to ogromnie prawdziwa książka. Wszystko co tam stoi sprawdziło się Andrzejce. Wygrała 10 rubli na loteryi i mąż jéj umarł. Zupełnie tak, jak przepowiedziane tym, co się rodzą pod bykiem.

ŁUCKA.

Ale moja kochana... cóż to za wpływ mieć może, *(słychać gwałtowne i ciągłe dzwonienie za nadbokaju)* Bój się Boga! ktoś dzwonki obrywa. Idźże otworzyć.

ANTOSIA.

Idę proszę pani. *(n. s.)* A to uparty, jednak dokazał swego. *(wraca się po sennik)* Muszę zabrać planetę, doczy-

tam w przedpokoju. Ciekawam jednak czy byk, czy panna? *(wychodzi)*.

ŁUCKA.

Ale Antosiu... już pobiegła. Chciałam się jéj spytać co się dzieje z Helenką. Wróciła do domu jakaś rozstrojona nerwowa. Czyby wypadkiem jaka scena z Augustem, który także dotąd nie był? Toby było zawcześnie, kłótnie przed ślubem... Bo po ślubie niech sobie tam radzą jak mogą. *(wchodzi Drecki)* A to ty mój bracie!

DRECKI.

Jak widzisz. Dziękuję Bogu żem się tu nareszcie dostał; musiałem dzwonić pół godziny. Czy i ty potrzebujesz się już zamykać.

ŁUCKA.

Ja? a toż na co?

DRECKI.

Jakto! czy on tu jeszcze nie był u ciebie?

ŁUCKA.

Kto taki?

DRECKI.

A któżby! Klapkiewicz!

ŁUCKA.

Co Klapkiewicz? a zkądże. Od owéj sceny na balu, słyszałam że zachorował. Dostał jakiejś gorączki czy bzika i nawet nie wiem co się z nim dotąd stało.

DRECKI.

No to ja za to wiem, na moje utrapienie.

ŁUCKA.

Mówże prędzéj co takiego?

Drecki.

Dowiesz się i tak zawcześnie.

Łucka.

Bój się Boga! umieram z ciekawości.

Drecki.

Dowiedz się zatem, że ów Klapkiewicz od owego dnia niefortunnych zaręczyn zachorował niebezpiecznie i przez kilka miesięcy leżał w gorączce, powtarzając ciągle to samo: „feralny dzień, i feralny dzień“. Doktorzy już zwątpili o jego życiu; ale niestety Pan Bóg nie chciał go powołać do swojéj chwały i parę dni temu nasz Klapkiewicz przyszedł do zdrowia. Zgadnijże jaką miał pierwszą myśl po wyjściu z choroby?

Łucka.

Ożenić się i wyjechać za granicę.

Drecki.

Ślicznieś zgadła. Oto postanowił zemścić się krwawo za doznaną od nas zniewagę i chce ni mniéj ni więcéj, jak zastrzelić mnie jako męzkiego reprezentanta naszéj familij.

Łucka.

Zastrzelić? cóż znowu!

Drecki.

Ale tak, jak ci dobrze życzę. Pokazuje się, że to człowiek gwałtowny i krwiożerczy. Najprzód był u mnie wczoraj w domu a niezastawszy mnie przyleciał do biura. Szczęściem byłem na śniadanku z moim kolegą. Otóż tam odgrażał się przed urzędnikami, że mnie położy trupem na miejscu, że się chce ze mną strzelać i to zaraz! natychmiast! Przytem zostawił mi kartkę, żebym na niego czekał dziś

rano u mnie w domu lub w biurze, albo mu przysłał moich sekundantów. Słyszałaś! moich sekundantów.

Łucka.

A no słyszałam. I cóż daléj?

Drecki.

A no domyślasz się, że ja nie byłem głupi czekać. Zamknąłem się w domu na klucz, do prezesa posłałem Jana, że z powodu słabości zdrowia przez parę dni do biura nie przyjdę i czekałem co się stanie. Jakoż punkt o dziesiątéj rano przyjechał. Łomotał do drzwi; walił powiadam ci jak młotem, pięściami i nogami, wreszcie pojechał, szukać mnie pewno w biórze. Ja przez ten czas zobaczywszy przez okno że już go nie ma, posłałem po dorożkę, kazałem postawić budę i przyjechałem do ciebie. Ot i masz całą historyę.

Łucka.

No a cóż teraz będzie?

Drecki.

Właśnie ja się ciebie chciałem spytać, co teraz będzie. Przecież nie myślisz, ażebym za twoje głupstwa karku nadstawiał i życie ryzykował. I tak się dosyć dla was poświęcałem.

Łucka.

Nikt ci téż tego nie mówi, a poświęceń swoich nie masz co wymawiać; bo rzeczywiście są piękne.

Drecki.

To co mówisz obrażać mnie nie może. Jestem przyzwyczajony do niewdzięczności ludzkiéj; ale nie mniéj przeto, abnegacya moja nie sięga tak daleko, abym miał życie ponieść w ofierze i dał się zastrzelić jakiemuś warjatowi. Jeśli on nie odstąpi od swego postanowienia, ja go zaskarżę kryminalnie i dam znać na policyą.

Łucka.

Ślicznie! narobisz skandalu, skompromitujesz nas, ale skompromitujesz i siebie. Całe miasto krzyczeć będzie, żeś się uląkł pojedynku, żeś tchórz...

Drecki.

Wolałbym być tchórzem jak nieboszczykiem. Zresztą mam odwagę i ta jest znana... Przedewszystkiem zaś mam odwagę cywilną; nie lękam się plotek i potwarców.

Łucka.

Tak! tylko twoi koledzy i podwładni nie zechcą z tobą służyć i będziesz musiał podać się do dymissyi.

Drecki.

Co do dymissyi? *(n. s.)* A prawda, mam tylu zawistnych w biurze, gotowiby mi buty uszyć. Fatalne położenie! *(głośno)*. Słuchaj no siostruniu, nie bierz do serca tego co ja mówiłem; to było powiedziane tak tylko w pierwszym zapale. Ale ty wiesz, że ja za was nie wahałbym się oddać tego ostatka dni, jaki mi jeszcze na świecie przeżyć pozostaje. Słuchaj Rózieczku, mnie nie chodzi o moją osobę ale o was samych... o ciebie i o Helcię. Wyobraź sobie coby to był za skandal w mieście, co by o was mówiono, gdybym ja go ranił albo zabił! lub co zachowaj Boże on mnie.

Łucka.

A cóż ja na to poradzę?

Drecki.

Rózieczku, wdaj ty się w tę sprawę. Zobacz się z nim, przedstaw mu, żeś to ty wszystko zrobiła, że ja się w to zupełnie nie mięszałem, że przeciwnie doradzałem małżeństwo z nim i zerwanie z Augustem. Ty jako kobieta nie narazisz się, on się powoli udobrucha...

Łucka.

Albo zrobi skandal mnie i Helence. Ja i tak boję się że lada chwila... *(słychać dzwonek)* Dla Boga! ktoś dzwoni.

Drecki.

Na rany Chrystusa! nie każ otwierać, bo zrobi awanturę. *(n. s.)* Którędy tu uciec! *(szuka po scenie)* aha! tędy, pójdę do sypialnego pokoju. Różieczku! jeśli masz cokolwiek w sercu życzliwości dla mnie, nie mów mu że ja tu jestem. Widzisz ja go się nie boję. Ale on gwałtowny i ja gwałtowny; mogłoby przyjść do skandalu... a skandal to fatalna rzecz! *(powtórny dzwonek)*. To on niezawodnie... Uciekajmy *(wybiega na prawo)*.

Łucka.

I ja tu nie będę czekać, żeby mi zrobił scenę. Napiszę do Augusta, niech nas broni; przecież to jego obowiązek. Tak to myśl genialna. Teodorze! poczekaj, idę za tobą. *(wychodzi za Dreckim)*.

SCENA 3.

August, potem Helena.

August.

A toż co? pustki! Nie jestem pożądanym gościem, nie wybiegają na moje spotkanie. A jednak, gdyby ona wiedziała co niosę! No prawda, za to mama i opiekun kazaliby mnie exorcyzmować. W każdym razie trzeba przystąpić do rzeczy. Zobaczmy czy znam dobrze serce ludzkie. Według moich wyrachowań, powinna być sama w swoim pokoju, blada, płacząca... Mój Boże! dla mnie nikt nigdy nie płakał i płakać nie będzie. I powiadają że rozum i majątek wszystko stanowią na świecie. Majątek miałem zawsze, rozum zdaje mi się że mam dosyć dawno,

a jednak... nie pokochała mnie i kochaćby mnie nie mogła. O naturo jak ty nierówno dzielisz ludzi.. No, zobaczmy czy moje przypuszczenia są prawdziwe. *(idzie do pokoju Heleny, która staje téj saméj chwili we drzwiach).* Zgadłem! niestety zawsze dobrze zgadywałem w życiu. Blada i zapłakana. No daléj! mam kwadrans czasu *(głośno do Heleny).* Przyszedłem tutaj niespokojny o panią, gdyż Antoni mówił mi, żeś pani zasłabła w pracowni.

HELENA.

Rzeczywiście, dostałam silnego bólu głowy i jeszcze czuję się osłabioną.

AUGUST.

Żałuję w takim razie, że może nie w porę się wybrałem z tém, com właśnie miał zamiar powiedzieć pani.

HELENA.

O i owszem, słucham.

AUGUST.

A zatem racz pani usiąść, podać mi rączkę... *(bierze jéj rękę n. s.)* jéj ręka drży... Boże, jedną chwilę być na jego miejscu!

HELENA.

I cóż daléj?..

AUGUST.

A prawda, daléj. Otóż panno Heleno, upłynął już kawałek czasu od dnia, w którym raczyłaś mi pani zaufać i przyjąć moją opiekę. Chciałem się dowiedzieć, czy w usposobieniu pani, w sposobie myślenia, nie zaszła żadna zmiana i jak mi się nadal zachować wypada. Czy opieka moja nie ciąży pani?

HELENA.

Zdaje mi się, że sam pan o tém jesteś najlepiéj przekonany.

August.

A zatem, gdybym dzisiaj przyszedł z zamiarem, z nadzieją, że to o czem marzyłem, coś mi pani przewidzieć dała spełnićby się mogło?..

Helena.

Odpowiedziałabym panu tak jak wtedy: oto moja ręka.

August (*n. s.*)

Sumienie, dodaj mi odwagi, bo trzeba tu być bardzo uczciwym, żeby nie zostać łotrem. *(głośno)* Zanim pani podziękuję za to szczęście panno Heleno, pozwól pani, że jeszcze jedną rzecz ci przypomnę. Powiedziałaś mi pani wtedy że serce twoje jest nie zajęte. Czy mogłabyś pani powtórzyć to i w téj chwili? Milczysz pani, a więc...

Helena.

Nie pytaj mnie pan o to. Jeśli szacunek, przyjaźń, wdzięczność wystarczą panu, bierz mnie, to wszystko weźmiesz wraz ze mną... serce moje, chwilowo słabe, uleczy się powoli.

August.

A jeśli choroba jest zbyt silna?

Helena.

Pan się nigdy o niéj nie dowiesz.

August.

Patrzajże pani, i mnie nazywają pasożytem. Mógłbym zabrać dla siebie i wyssać powoli niby lilję wodną, kwiat którego by mi świat cały pozazdrościł; mógłbym zmuszając się tylko trochę, a raczéj patrząc tylko na własny egoizm, nie widzieć że zatruwam cudze szczęście i życie, żyć i umrzeć najszczęśliwszym z ludzi... a jednak... a jednak

zamiast tego wszystkiego panno Heleno, mam żal do pani żeś mnie osądziła tak jak wszyscy.

HELENA.

Ależ...

AUGUST.

Nie spierajmy się, czas objaśnień nadejdzie. Tymczasem już blizko druga, a Antoni nie nadchodzi.

HELENA.

Kto? pan powiedziałeś?

AUGUST.

Antoni Uszyński. Czy to nazwisko przeraża panią?

HELENA.

Nie... to jest...

AUGUST.

Przychodzi pożegnać panią. Wyjeżdża na lat parę za granicę.

HELENA.

A więc wyjeżdża?

AUGUST.

Tak pani; jutro albo pojutrze najdaléj. Chciał wyjechać bez pożegnania z paniami. Wytłomaczyłem mu, że to byłoby nie grzecznie, spierał się ze mną... ale koniec końców przyjdzie tu lada chwila. Wszak pani nie zrobi przykrości ta wizyta; malował panią i bądź co bądź należy mu się słowo życzliwe na drogę.

HELENA.

I owszem, pożegnam go chętnie. Tylko zapewne ma wiele zajęć przed odjazdem, byłabym go miała za wytłomaczonego gdyby...

AUGUST *(n. s.)*

Szlachetne stworzenie. *(głośno)* A propos Uszyńskiego, państwo w ostatnich czasach jakoś nie szczególnie byliście ze sobą, unikaliście się widocznie. Czyżby w czemkolwiek naraził się pani? *(słychać dzwonek)* A, otóż i on. Muszę państwa pogodzić, aby nie odjeżdżał z przykrem wrażeniem na drogę.

HELENA *(n. s.)*

Jeszcze jedno takie przejście! a jam już prawie złamana.

SCENA 4.

CIŻ I ANTONI.

ANTONI *(do Augusta)*.

Kazałeś mi pan przyjść, jestem posłuszny pańskiéj woli, ale czasu mam nie wiele. Pani pozwoli, że ośmielony przez pana Augusta. *(n. s.)* Ah Boże, jak to ciężko! ona taka blada... żałuje mnie... a ja muszę wyjeżdżać.

AUGUST.

No mój Van Dyku, wyglądasz jakbyś tu przyszedł na pogrzeb. A tym czasem żegnasz się tylko na drogę, przyjemną dla każdego artysty, bo po laury, po sławę i majątek. Trzeba przyznać, że Pan Bóg nie skąpił ci swych darów. I pani ma taką minę zasmuconą. Muszę was rozweselić moi państwo i w tym celu opowiem wam powiastkę... albo nie, komedyę. Tytuł jéj damy **„Przed ślubem“** czyli... (W komedyach staréj szkoły zawsze jest tytuł podwójny.) Otóż przed ślubem, czyli poświęcenie naprzykład.

ANTONI.

Słuchamy treści; chociaż jeśli zbyt długa, to czas mój...

August.

Znajdziesz czas kochanku, tylko się wsłuchasz. Osoby: bohaterka, młody malarz i człowiek zwany pasożytem.

Helena i Antoni *razem.*

Panie Auguście...

August.

Samo wymienienie osób tak państwa zainteressowało, cóż to z treścią będzie dopiero. Czyżby się we mnie odkrył nowy talent, komedyopisarski? No, ale najlepiéj podobno nie będę się narażał na próbę ognia i zacznę od zakończenia. Młody malarz kochał bohaterkę, bohaterka kochała młodego malarza, a pasożyt który miał pretensję do uczciwości, przewidział to co się stanie i przygotował... na zakończenie łączy dwoje zacnych ludzi, którzy dla niego poświęcić się chcieli, bo i on rozumie poświęcenie...

Helena.

Panie Auguście, ja doprawdy nie wiem jak pan ..

August.

Jak mogę dysponować ręką pani? czyżeś mi jéj pani przed chwilą nie oddała? Wolałbym ją zatrzymać, ale oddaję bo muszę...

Antoni.

Co ja mam panu powiedzieć? tyle poświęcenia!

August.

Cóż to ty myślisz, żeś już zdobył pozycyą; poczekaj bratku! a raczéj nie czekając, siadaj w dorożkę i pędź do twego mieszkania. Zastaniesz tam twego ojca z którym bądź łaskaw tu powrócić, a ja ci przez ten czas przygotuję pole do walki.

Antoni.

Mój ojciec jest w Warszawie?

AUGUST.

Wpadasz z niespodzianki w niespodziankę, a że na to czasu nie ma, bo tam twój ojciec wyelegantowany czeka, więc bez pożegnania... nogi za pas i marsz.

ANTONI.

Ależ pani... pani...

AUGUST.

Pani! pani, to potem. Słuchaj mię, bo się pogniewamy i zmykaj.

ANTONI.

Pod taką groźbą, w téj chwili *(wychodzi)*.

SCENA 5.

HELENA, AUGUST.

HELENA.

Nie panie Auguście! ja uległam pierwszemu wrażeniu, było za silne. Ale teraz, kiedy przychodzi rozmysł... moja matka, wuj... oni się nigdy na to nie zgodzą, ja tego zrobić nie mogę.

AUGUST.

Pozwoliłaś mi pani opiekować się sobą dosyć długo; zostaw mi pani tę władzę jeszcze na czas krótki a zaręczam, że nie będziesz pani tego żałować. Żądam plenipotencyi całkowitéj, bez ograniczeń...

HELENA.

Tak, ale wbrew woli matki...

AUGUST.

Uzyskamy jéj pozwolenie; dozwól mi pani tylko działać, mam sekret, który wszystko ułatwi. A ot najlepié

będzie, jeśli i pani pozostawisz mi wolne pole. Niewiem tylko gdzie jest matka pani, ale poczekam tu na nią; panią zaś sekwestruję do jéj pokoju. Proszę się tam zamknąć i siedzieć spokojnie, nie wychodząc, aż się tu wszystko zakończy.

HELENA.

Ależ jeśli pan mamie powiesz cóś takiego...

AUGUST.

Nic jéj nie powiem. Boże! jakże jest ciężko uszczęśliwiać ludzi. Przedstawię jéj argumenta tak przekonywające...

DRECKI *(do Łuckiéj za scena)*.

Jeśliś pewna że to nie on, to wejdź pierwsza.

ŁUCKA *(do Dreckiego za scena)*.

Ależ zaręczam ci, poznałam głos.

AUGUST.

Pani, niebo nam tu i wujaszka zesłało. Proszę iść natychmiast do swego pokoju... bo... bo niedoszły mąż zaprowadzi panią gwałtem.

HELENA.

Panie Auguście, jakżeś pan poczciwy.

AUGUST.

To mi często mówiono, tylko z dodatkiem, ale jakiżeś stary i brzydki. *(odprowadza Helenę do drzwi, współcześnie Łucka z Dreckim oglądając się ostrożnie i popychając naprzód, wchodzą drzwiami z prawéj)*.

SCENA 6.

AUGUST, DRECKI, ŁUCKA.

ŁUCKA.

Kiedyż powiadam ci że to nie on.

Drecki.

Ja wolę sprawdzić, może się gdzie ukrył *(spostrzegając Augusta który stoi zwrócony do drzwi Heleny)* Aj... *(August odwraca się do niego)*. A! to August.

August,

Czegożeś się mnie przeląkł... Witam panią.

Łucka.

A, to niebo pana zsyła. Pan nie wiesz jakie my mamy nieszczęście... Wyobraź pan sobie, Klapkiewicz wyzdrowiał.

Drecki.

I chce mnie zabić.

August.

Ależ wiem to wszystko; był u mnie, bo i mnie chce zabić także... Możesz się pocieszyć, we dwóch będzie nam lżéj umierać.

Drecki.

Dziękuję. Ja wolę bez towarzystwa i bez sztucznych środków.

August.

Poznaję twoją wspaniałomyślność w tém wyrażeniu. Ty wolisz sam się za nas wszystkich poświęcić.

Drecki.

Mój Auguście, proszę cię, ja drwin nie znoszę, szczególniéj zaś w takiéj chwili. ~~Po czy to nie można dojść do wściekłości!~~ Ja temu człowiekowi nic nie zrobiłem, byłem dla niego najgrzeczniejszym, djabeł poniósł moją siostrę, że nawarzyła piwa i ja mam je teraz wypić! dziękuję. Radźcie sobie sami, ja umywam ręce od wszystkiego. Jeśli mnie gwałtem zechce prześladować, na awanturników są sposoby. W najgorszym razie wyjadę za granicę.

AUGUST.

Bardzo pięknie! to jest co do ciebie. A teraz proszę państwa co do mnie. Za co ja mam nadstawiać karku za pannę Helenę, która o mnie tyle myśli, co ja o Szachu Perskim.

ŁUCKA.

Co! jak! co pan powiedziałeś?

AUGUST.

Najczystszą prawdę. Panna Helena nie kocha mnie.

DRECKI (*n. s.*)

Wierzę!

ŁUCKA.

Zkąd to podejrzenie? Jaki pan masz na to dowód?

AUGUST.

Bardzo prosty. Nie kocha się naraz dwóch ludzi, a panna Helena kocha Antoniego Uszyńskiego.

DRECKI (*n. s.*)

Tego tylko brakowało.

ŁUCKA.

To co pan mówisz jest niecną potwarzą, plotką bez żadnéj podstawy i aby pana przekonać idę zaraz.. *(idzie do drzwi Heleny, August ją zatrzymuje).*

AUGUST.

Po co? pragniesz pani chyba ostrego starcia z córką, które do niczego nie doprowadzi. Panna Helena powiedziała mi otwarcie całą prawdę, a co więcéj prosiła: *(z naciskiem)* abym jéj wyraźną wolę, pani i jéj opiekunowi objawił.

ŁUCKA *(padając na krzesło).*

Nie, to niepodobna.

Drecki.

W istocie, to fatalny wypadek.

Łucka.

Ja ją przeklnę.

Drecki.

A ja ją wydziedziczę.

August.

Moi państwo, raczcie mnie posłuchać spokojnie nie unosząc się. Naśladujcie mój przykład, choć ja w téj sprawie jestem najbardziéj pokrzywdzony.

Drecki.

Pięknie najbardziéj, a ja? Pojedynek! rachunków zażąda! to można głowę stracić.

Łucka.

Malarz! golec! Przeklnę niewdzięcznicę.

August.

Narobicie państwo hałasu i nic więcéj, a młodzi postawią na swojem. Panna Helena jest już pełnoletnią.

Drecki.

Od kilku miesięcy.

August.

To nie wystarczyło by pokwitować z rachunków opieki, ale jest dostateczne do pójścia za mąż.

Drecki.

Tak niestety! takie głupie mamy prawo.

August.

Co zaś do pani to i cóż? Czyż zechcesz pani rozdzielić się z zięciem i żyć osamotniona.

Łucka.

Nigdy panie, nigdy. Zejść do nędzy i biedę klepać z niemi! wolę żyć sama. O jaszczurka!

August.

Mylisz się pani. Uszyńskiego obrazy już są dzisiaj wysoko cenione, tak, że ma kilkanaście tysięcy rocznego dochodu, a ja sam nie przeczuwając nieszczęścia, zamówiłem u niego kilka prac bardzo kosztownych. Nareszcie pokazuje się że i stary Uszyński nie jest bez grosza.

Drecki.

Professor szkoły trzyklassowéj w Mławie.

August.

Trzymał pensyonarzy, wziął posag. Ludzie mówią o krociach.

Łucka.

Jakeś pan powiedział?

August.

Mówię, że jak słyszałem, ma parę kroć stotysięcy.

Drecki.

Na tak nędznéj posadzie! Zkądżeby znowu.

August.

Mój kochany, oszczędnością a pracą...

Łucka *(n. s.)*

Parę kroć!

Drecki *(n. s.)*

Młody, artysta! może pokwituje z rachunków.

August *(n. s.)*

Rozmyślili się. Trzeba im ułatwić rolę. Zrobię zwrot patetyczny, udadzą rozczulenie i komedya się skończy.

(głośno) A teraz patrzcie państwo! Ja odrzucony przez pannę Helenę, którego uczucia podeptano, którego sercem wzgardzono, ja przychodzę tutaj z gałązką oliwną, z różczką pokoju, od téj która mnie tak ciężko obraziła. I do kogoż to mam przemawiać! Do matki rodzonéj, do wuja i opiekuna, do ludzi krwią i sercem, najbardziéj z panną Heleną związanych. Wszak państwo ją kochacie, gdyby nie konieczność, toż nawet serca wasze, kazałyby wam poświęcić siebie dla jéj szczęścia. A jeśli ona w tém widzi swoje szczęście?

ŁUCKA.

Nie kończ panie Auguście! jesteś zacny człowiek i byle tylko on miał tę parę kroć, ja się poświęcę dla jéj szczęścia...

DRECKI.

Mnie nie tak chodzi o majątek, jak o charakter tego młodego człowieka. Zaufać przyszłość całą młodzieńcowi, jeśli on nie ma gruntu szlachetnego... wspaniałości uczuć...

AUGUST.

Za jedno i za drugie ja poręczam. Młody Uszyński będzie bogatym i ma dosyć szlachetności aby nie szykanować rachunków, jak powiadasz...

DRECKI.

Ależ bo jednak, uważasz...

KLAPKIEWICZ *za sceną*

Puszczaj błaźnie, bo cię trzepnę. Ja wiem że twój pan tu jest.

DRECKI.

Klapkiewicz! ratunku zginąłem!

ŁUCKA.

Boże święty! co się tu stanie.

August.

Ależ nie lękajcie się państwo, przecież was nie zje.

SCENA 7.

Ciż i Klapkiewicz.

Kkapkiewicz.

Ha, nareszcie! Obadwaj tutaj, to szczęśliwie. *(do Augusta)* Panie! u pana byłem dwa razy. *(do Dreckiego)*. Panie, u pana byłem cztery razy. Myśleliście że można tak zakpić sobie ze szlachcica, wystrychnąć mnie na dudka, aleście się zawiedli. Przechorowałem to prawda, alem dziś zdrów dzięki Bogu i zapłacę wam za wszystko. Proszę o wyznaczenie czasu, miejsca i broni. A i pani tutaj! i zacna mamunia, co córkę ma na handel, a zięcia chce wziąść z licytacyi.

Łucka.

Mój panie, jesteś impertynent.

Klapkiewicz.

Nie, ja tylko prawdę mówię, bom przejrzał na oczy. Spekulowaliście państwo oboje, bo dziś znam waszą pozycyę, rozpytałem się dobrze, choć po niewczasie. Pani przeszastała majątek córki i chciała jeszcze na starość szumieć, na koszt bogatego zięcia. A ten pan, opiekun oszukiwał po prostu swoją pupilkę, nabywając jej summy, pod cudzem imieniem.

Drecki.

Mój panie!

Klapkiewicz.

Nie ma się co sprzeczać, byłem w hypotece i żydki mi wyśpiewały. A wiesz pan czem to pachnie? kryminałem. Ale wprzód cię zastrzelę wisielcze.

AUGUST *(n. s.)*

A to rżnie szlachcic ani pyta.

KLAPKIEWICZ.

Trafił się lepszy, bogatszy, co lepiéj zapłacił, i furda z Klapkiewiczem. Ale ja was nauczę gwizdać po kościele. I tego pana, chodzącą satyrę, miljonera co sobie ze mnie kpić pozwolił. O w téj Warszawie, albo zdzierają, albo kpią z człowieka.

AUGUST.

Kpią panie, kiedy jest kpić z czego.

KLAPKIEWICZ.

Jak to pan rozumiesz?

AUGUST.

Pozwoli pan, chwilkę przedewszystkiem pomówmy spokojnie, potem będziemy się zarzynać jeśli panu o to chodzi; ja z pewnością panu nie odmówię. Otóż łaskawy panie, ile pan masz lat?

KLAPKIEWICZ.

Chcesz pan powiedzieć żem dla panny za stary. A panże cóż?

AUGUST.

Właśnie tak samo jak pan.

KLAPKIEWICZ.

Jakto tak samo. Pan się możesz żenić, dla czegoż ja nie mogę?

AUGUST.

Otóż właśnie łaskawy panie, w tém pomyłka, że obadwaj mieliśmy tylko dobre chęci, które, tak pańskie jak i moje, na niczem spełzły.

KLAPKIEWICZ.

Co, nie żenisz się pan?

AUGUST.

Niestety! nie.

KLAPKIEWICZ.

Więc znaleziono bogatszego?

AUGUST.

Nie, ale młodszego i piękniejszego.

KLAPKIEWICZ.

To być nie może!

SCENA 8.

CIŻ I HELENA, później USZYŃSKI I ANTONI *(Helena pokazuje się we drzwiach).*

AUGUST.

A jednak tak jest. Bo i przypatrz się kochany panie, czyż takie śliczne dziecko, stworzone dla takich jak my brzydalów i niedołęgów?

KLAPKIEWICZ.

Mój panie!

AUGUST.

Nie gniewaj się pan, wszak mówię i o sobie. No a teraz panno Heleno interweniuj pani w téj sprawie. Pan Klapkiewicz chce się strzelać za odkosza, ponieważ i ja go dostałem, więc już chyba z Antonim.

DRECKI.

Tak, bo ja się wyłączam z téj sprawy.

KLAPKIEWICZ.

A cóż mnie znów, ten pan nic nie zawinił; więc jeśli nie z panem...

ŁUCKA.

To wszystko pochodzi z nieporozumienia. Pan oskarżałeś nas o interesowność a my idziemy tylko za popędem serca i kiedy Helenka kocha pana Uszyńskiego, choć to tylko artysta i bez majątku, zgadzamy się na to z poświęceniem.

HELENA.

O droga matko. Więc zezwalasz?

ŁUCKA.

Czyż mogłaś wątpić o tem? Ja twego szczęścia tylko pragnę i gdybyś mi się była od razu zwierzyła.

DRECKI.

Tak, my tylko twego szczęścia pragniemy.

AUGUST *(n. s.)*

Uwierzyła w parę kroć! *(głośno)* A ot i panowie Uszyńscy. *(wchodzą Uszyńscy)*

DRECKI.

Kochany Baltazarze! jakże się miewasz?

AUGUST *(n. s.)*

Chodzi mu o rachunki.

USZYŃSKI.

Paulatim! Niechże wprzódy przystąpię affectionis gratia...

August.

Czuję że professor zgotował sobie mówkę, ale ponieważ my tu wszyscy już wiemy o co chodzi, więc przedewszystkiem, chodź pan uściskać przyszłą córkę.

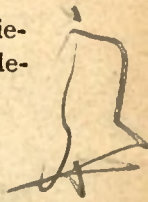

Łucka i Drecki.

Za pozwoleniem!

August *(do Łuckiéj)*.

Ma parę kroć. *(do Dreckiego)* i pokwituje z rachunków opieki.

Uszyński *(do Heleny)*.

O pulchra puella!...

Klapkiewicz.

No, ale z tego wszystkiego, któż mnie da satysfakcyą, z kim ja się będę strzelał? Pan dostałeś odkosza, Drecki jest bezinteresowny. A, mam! rzeźbiarz który mnie nazwał wołem. Dowiedziałem się późniéj, że to był wół.

August.

O, tego panu chętnie daję, z tym się pan strzelaj, byleś go tylko nie zabił. No a my panie Antoni, musiemy cię także strzelać.

Antoni.

O zacny panie Auguście! czemże ja ci się odwdzięczę. Czcić cię tylko i uwielbiać cię mogę.

Helena.

O tak panie! byłeś szlachetnym i wspaniałym jak...

August.

Jak człowiek praktyczny. Boć nareszcie droga pani,

lepiéj że się to wszystko stało przed ślubem, niż żeby się przydarzyło po ślubie.

KLAPKIEWICZ.

A tak, po ślubie to by było feralne!

KONIEC.

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000226786
II 541086